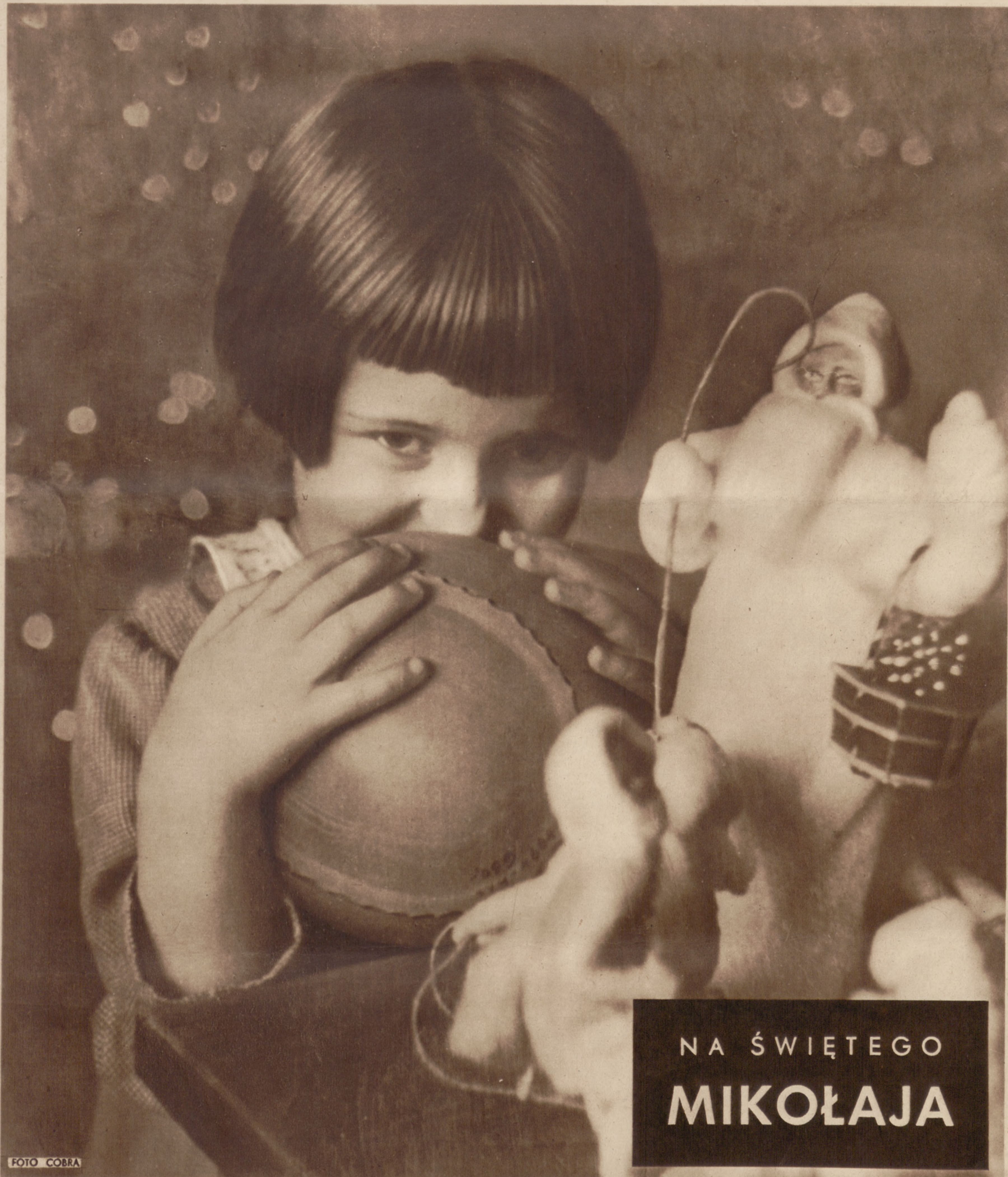
TYDZIEŃ

NR. 49 (73)
ROK II

7. XII. 1947
CENA 20 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZIŚ W NUMERZE:

MALTA – WYSPA KRZYŻOWA.
KTO POWSTRZYMA SZALEŃSTWO UCZONYCH
SENS REWOLUCJI SPÓŁDZIELCZEJ
FELIETON QUASA, POWIEŚĆ I INNE.

Z SZEROKIEGO świata



TRĄD — Koszmarna choroba starożytności dziś jeszcze grasuje w krajach podzwrotnikowych. Dotychczas jeszcze nie wynaleziono środka leczniczego na trąd. W leprosorium w Nigerii chorzy znajdują się pod opieką lekarską, ograniczającą się jednak tylko do złagodzenia cierpień nieszczęśliwych.



Wicemarszałek Stanisław Szwalbe przewodniczył na Głównym Zjeździe Delegatów „Społem".



NA SPOTKANIE POGODY. Najnowszy brytyjski statek meteorologiczny przed startem na północny Atlantyk. Jest to jedno z ogniw łańcucha utworzonego przez USA, Kanadę, Francję, Norwegię, Szwecję, Belgię i Holandię dla badania pogody na północnym Atlantyku.



ZE ZWYCZAJÓW STUDENCKICH W OKSFORDZIE „Patałach do sędziego!" Kroczącego na boisku Oksfordzkim gracza prowadzi się dość energicznie przed oblicze sędziego.



Uczestnicy Głównego Zjazdu Delegatów „Społem" u Premiera. Od prawej na pierwszym planie: Prezes Związku Rewizyjnego E. Pszczółkowski, Prezes „Społem" J. Żerkowski, Wiceprezes J. Niemiec, pełnomocnik Banku Gospodarstwa Spółdzielczego H. Skałecki



Wojna — wielkie dzieło zniszczenia przyczynia się również do postępu technicznego. Między innymi produkcja przemysłowa zegarów posunęła się znacznie naprzód dzięki wojnie, na której potrzeby produkowano masowo zegary dla lotnictwa, czołgów itd.



Szybowiec zbudowany na zasadzie helikoptera ląduje pionowo w miejscu ściśle oznaczonym.



Soczi — jedno z najpiękniejszych uzdrowisk radzieckich.



NA TROPACH PRZEMYTU LOTNICZEGO. Policja na lotniskach angielskich rewiduje jak najskrupulatniej wnętrza samolotów.

Leon Marszałek

NOWA STRUKTURA SPÓŁDZIELCZOŚCI

Dla omówienia nowej struktury spółdzielczości w Polsce trzeba uprzednio oczyścić pole naszych rozważań z fałszywych plotek w tym przedmiocie. A więc przede wszystkim stwierdzenie tak oczywiste, że żaden ze świadomych działaczy spółdzielczych nie broni dotychczasowych form organizacyjnych spółdzielczości polskiej. To trzeba z całym naciskiem podkreślić, aby obalić wszelkie sugestie, jakoby nowa struktura była rezultatem obalenia na siłę dawnej spółdzielczości przez nową spółdzielczość. Zmiany dokonane na Głównym Zjeździe Delegatów „Społem" są zakończeniem pewnego zasadniczego etapu organizacyjnego, przy czym cały ten etap wykazywał stale tendencje rozwojowe, które na Zjeździe znalazły formalne potwierdzenie. Projekt nowej struktury był wynikiem **uzgodnienia** różnych koncepcji organizacyjnych, **a nie narzucenia** przez jedną ze stron. Co więcej, zasadnicze założenia projektu były odrazu wspólne i nie podlegały jakiejś dyskusji. Przedmiotem długich rozstrząsań było znalezienie najtrafniejszych form dla owych wspólnych założeń. Druga plotka, która wymaga zbicia na wstępie naszych uwag, to rozpowszechniony termin o „upaństwowieniu" spółdzielczości. Ta plotka wynika po części z ignorancji, a częściowo z pewnością ze złej woli. Powtarzają ją bowiem osoby, które ani dobrze nie rozumieją podstaw ustrojowych gospodarki planowej, ani też nigdy nie starały się wniknąć w istotę spółdzielczości. Spółdzielczość w dzisiejszej swej nowej strukturze ma wszelkie warunki, by pogłębić swe znaczenie nie tylko jako aparatu gospodarczego, ale również jako wielkiego samorządnego ruchu społecznego. Czy te warunki zostaną w pełni wykorzystane, decydować będą siły społeczne tkwiące w samej spółdzielczości.

Dotychczasowa struktura spółdzielczości charakteryzuje się przede wszystkim niejednolitością wewnętrzną, a powtóre niedostosowaniem do obecnego ustroju gospodarczego Polski. Niejednolitość ma swe źródło w mechanicznym łączeniu różnych form spółdzielczości: tradycyjnych form przedwojennych, oraz nowych form, które się zjawiły po odzyskaniu niepodległości, szczególnie spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Niedostosowanie do modelu gospodarczego Państwa wynikało częściowo z braku jasnego określenia funkcji samej spółdzielczości, a powtóre z niewykrystalizowania się jeszcze form ustrojowych całego Państwa. Minione trzy lata ten proces krystalizacji stale przyspieszały, a obecny rok, jako pierwszy rok Trzyletniego Planu Odbudowy Gospodarczej, dał już dużo doświadczeń w zakresie planowego rozwiązywania kapitalnych problemów naszej gospodarki narodowej.

Pierwsze założenie w budowie nowej struktury wynika z podstawowej tezy gospodarki planowej: **ustrój społecznej gospodarki planowej wymaga jednego podmiotu planującego.** Nie może być inaczej. Trudno mówić o jednolitości i integralności planu, jeżeli on jest tworzony przez kilka podmiotów planujących niezależnych od siebie. Rola podmiotu, planującego nie ogranicza się oczywiście do ustalenia samego planu, ale również obejmuje wykonanie względnie kontrolę wykonania planu. Rzecz oczywista, że tym jednym podmiotem planującym może być tylko Państwo. Plan spółdzielczy przeto jest tylko fragmentem ogólnego planu Gospodarczego Państwa, **samo rządnie opracowanym i wykonanym** zgodnie z wytycznymi polityki gospodarczej, ustalonymi przez organa państwowe. Tego założenia podstawowego nikt nie może kwestionować. Rzecz w tym, jakie znaleźć formy, by to założenie zostało spełnione. Napewno tego założenia nie spełniała dotychczasowa budowa spółdzielczości. Plan spółdzielczy był sam w sobie mało jednolity. Związek Rewizyjny planował odrębnie dla spółdzielni poszczególnych typów, a Związek „Społem" i inne centrale gospodarcze planowały odrębnie dla ogniw hurtowych. Ta sama gałąź gospodarcza była złamana już w samej spółdzielczości. Stworzenie **na to miejsce** jednolitego wielkiego związku gospodarczo - rewizyjnego, któryby doprowadził do jednolitości planów poszczególnych gałęzi, groziło stworzeniem jak gdyby odrębnego ministerstwa, któreby **powtarzało** względnie **dublowało** pracę ośrodków kierowniczych tych samych branż w aparacie państwowym. W konsekwencji łamało to postulat naczelny: istnienia jednego podmiotu planującego. Stąd wyszła koncepcja **Centralnego Związku Spółdzielczego** jako naczelnej reprezentacji ruchu spółdzielczego, a nie aparatu gospodarczego, dalej jako ośrodka ideowego, który scala wszelkie formy organizacyjne spółdzielcze. Stąd zjawiła się koncepcja **central gospodarczo - rewizyjnych** spółdzielni poszczególnych typów. Te centrale tworzą i realizują swój plan w ścisłym powiązaniu z odpowiednimi komórkami Państwa, Centralny Związek Spółdzielczy zaś, zestawia owe plany odcinkowe, koordynuje je, oraz kontroluje ich wykonanie. Rola przeto C.Z.S. na odcinku planowania jest wyraźnie określona. C.Z.S. nie łamie zasady jednolitego podmiotu planującego, ale ułatwia Państwu skoordynowanie planów odcinkowych już uprzednio uzgodnionych z organami państwowymi oraz sprawuje kontrolę nad ich realizacją, zapewniając Państwu większą gwarancję ich wykonalności.

Z powyższych rozważań jasno wynika że stworzenie centrali gospodarczo - rewizyjnej danego typu spółdzielni decyduje (1) **o jednolitości samego planu spółdzielczego** przez połączenie w jednym ogniwie planu spółdzielni i ich central, powtóre (2) przez podporządkowanie bezpośrednie organom państwowym decyduje **o jednolitości planu gospodarczego Państwa** w całej określonej gałęzi gospodarki narodowej.

To samo naczelne założenie: jednopodmiotowości planowania zadecydowało w konsekwencji o powołaniu nieznanych dotąd w spółdzielczości świata dwóch form mieszanych państwowo - spółdzielczych. Koncepcja Lavergne'a t.zw. **régies coopératives, wysuwana w Belgii**, częściowo tylko przypomina nasze rozwiązanie. Skąd się zrodził ten pomysł? Są gałęzie gospodarstwa narodowego, które mają kapitalne znaczenie dla całości życia Państwa. W tych gałęziach spółdzielczość ma pewne osiągnięcia, ale nie takie, któreby jej pozwalały na całkowite rozwiązanie danego problemu. Z drugiej strony Państwo jest jaknajżywiej zainteresowane pełnym uregulowaniem tego odcinka. Wówczas tworzy się formę mieszaną. Może być ona dwojakiego rodzaju: tam gdzie spółdzielczość ma wykształcone specjalne typy spółdzielni, np. spółdzielnie rybackie, mięsne — tworzy się centrale gospodarczo - rewizyjne danych spółdzielni z dostateczną ingerencją Państwa, by ono mogło rozwiązać cały ten problem, operując nie tylko aparatem spółdzielczym, lecz również państwowym i prywatnym. Z pewnością w miarę rozszerzania się i umacniania sieci spółdzielni danego typu — rola spółdzielczości doznałaby zwiększania. W tych gałęziach gospodarowania, gdzie spółdzielczość nie wytworzyła specjalnego typu spółdzielni, ale odgrywa dużą rolę, np. w obrocie zbożem lub artykułami włókienniczymi — tworzy się mieszane przedsiębiorstwa państwowo - spółdzielcze. Specjalna ustawa ustali zasady ich powoływania i wewnętrznej organizacji. Jest to kompromisowe rozwiązanie między monopolem państwowym a monopolem spółdzielczym w danym zakresie. Owe przedsiębiorstwa są poddane nadzorowi Centralnego Związku Spółdzielczego.

Drugie założenie naczelne jakie stoi u podstaw nowej struktury spółdzielczości polskiej, wynika również z innej podstawowej przesłanki ustroju planowej gospodarki społecznej: **plan gospodarczy Państwa musi również obejmować obszar gospodarki nieuspołecznionej.** Zakłócenie w gospodarce planowej przy niespełnieniu tego wymogu przekreśliłoby może w konsekwencji cały sens planowania. Wiadomo, że największym obszarem gospodarki prywatnej w Polsce są indywidualne **gospodarstwa chłopskie.** Nie ma przed nami innego trudniejszego zagadnienia na odcinku planowania, jak znalezienie sposobów wprowadzenia planu gospodarczego na wieś polską. Jeżeli mówimy o planie, to nie mamy tu na myśli jedynie sprawnej organizacji obrotu, lecz może przede wszystkim wprowadzenie planu do procesów produkujących. Rzecz jasna, że jest to nieosiągalne przy rozproszeniu organizacyjnym paru milionów gospodarstw chłopskich i że czynnikiem decydującym musi tu być organizacja. Nie ma w tej chwili innej formy koncentracji gospodarczej na wsi jak tylko forma spółdzielcza. Struktura jednak spółdzielczości wiejskiej nie była dotąd przygotowana do wypełnienia owej roli. Mamy na wsi drobne spółdzielnie spożywców, duże spółdzielnie rolniczo - handlowe, silne spółdzielnie mleczarskie, oraz nowe krystalizujące się dopiero gminne spółdzielnie „Samopomoc Chłopska". Z dyskusji są wyeliminowane spółdzielnie mleczarskie, których rola jest bezsporna. Pierwszą zmianą organizacyjną to połączenie owych drobnych spółdzielni spożywców, obejmujących najczęściej gromadę z gminnymi spółdzielniami „Samopomoc Chłopska". Scalono w ten sposób dotychczas rozproszone wysiłki. Uzyskano podstawę do szerszego ujęcia w ramy spółdzielcze gospodarczego życia wsi. Gminna spółdzielnia jest w tej chwili dopiero bazą wyjścia. W oparciu o nią musi powstać ściśle rozpracowana koncepcja. Jej rozpracowanie jest możliwe przy znalezieniu najtrafniejszej nadbudowy organizacyjnej nad owymi blisko 3000 spółdzielni gminnych

(Dokończenie na str. 9)

W NUMERZE ŚWIĄTECZNYM

WIELKI KONKURS GWIAZDKOWY „TYGODNIA"

PIĘKNA GÓRZYSTA JUGOSŁAWIA

PRZEŻYWA REWOLUCJĘ W SPÓŁDZIELCZOŚCI

Przed wojną ruch spółdzielczy w Jugosławii był bardzo rozbity. Każdy naród stanowiąc jak gdyby jakąś odrębną część państwa chciał mieć także i swoje własne centrale spółdzielcze, podporządkowane wyłącznie sobie. Doszło w ten sposób do powstania na terenie całej Jugosławii nieuzasadnienie wielkiej liczby central spółdzielczych. Do wybuchu wojny działało ich przeszło 40.

Z drugiej strony jugosłowiański ruch spółdzielczy nie spełnił roli i zadań prawdziwego ruchu społecznego. Miał on nastawienie prokapitalistyczne, dążył do wzmocnienia własności prywatnej bogatszych chłopów i mieszczan, nie kierując swych wysiłków w celu zmiany istniejącej gospodarki kapitalistycznej.

Lecz gdy w czasie wojny na terenie prawie całego kraju doszli do władzy partyzanci nastąpiła całkowita reorganizacja ruchu. Zlikwidowane zostały wszystkie dotychczasowe centrale gospodarcze i związki rewizyjne i rozpoczęto budowę spółdzielczości opartej na zupełnie nowych podstawach.

Na terenie wiejskim przyjęto za podstawową jednostkę gminne spółdzielnie zakupu i sprzedaży, mające charakter wybitnie uniwersalny. Najwyższym typem spółdzielni wiejskich miały być spółdzielnie pracy wiejskiej, mające swój prototyp w tzw. „zadrugach". Były to w dawnych czasach dobrowolne zrzeszenia członków rodzin, skupiające się w celu wspólnego uprawiania roli. Nowoczesne formy wiejskich spółdzielni pracy zostały przejęte — według słów samych Jugosłowian — z pobliskiej Bułgarii.

W ten sposób w zależności od uspołecznienia danego środowiska powstają w Jugosławii cztery typy tych spółdzielni.

Pierwszy typ polega na tym, że każdy człowiek wnosi do spółdzielni swoją ziemię i inwentarz potrzebny dla prowadzenia wspólnego gospodarstwa. Ziemia pozostaje jego własnością, a za inwentarz otrzymuje zwrot ziemi, ale nie swojej, a leżącej na skraju gospodarstwa spółdzielni. 30 proc. dochodu zostaje rozdzielone pomiędzy członków jako czynsz dzierżawny. resztę rozdziela się także, lecz jako zapłatę za włożoną pracę. Każdy członek spółdzielni ma prawo posiadać swój mały kawałek ziemi.

Drugi typ różni się od pierwszego tylko tym, że od wartości ziemi płaci się procent bankowy, ale członek więcej otrzymuje za pracę.

W trzecim typie ziemia idzie na udział i wartość jej w ten sposób coraz mniej znaczy przy podziale nadwyżki.

Czwarty typ tworzą spółdzielnie powstające na byłych folwarkach. Członkowie pracują na ziemi nadanej przez Państwo i stanowiącej właściwie ich własność. W razie wystąpienia ze spółdzielni otrzymują należny im grunt względnie równowartość w pieniądzach.

Dużą rolę w życiu gospodarczym Jugosławii odgrywają ostatnio rozpowszechniające się bardzo spółdzielnie rybackie. Natomiast działające obecnie spółdzielnie kredytowe, mleczarskie i zdrowia zostaną w najbliższej przyszłości zastąpione przez uniwersalne gminne spółdzielnie zakupu i sprzedaży.

Wiejskie spółdzielnie na terenie Jugosławii potrafiły już uspółdzielczyć cały dopływ towarów na wieś, natomiast skup ziemiopłodów znajduje się w rękach gminnych i państwowych Rad Narodowych. Dziedzina przetwórstwa wiejskiego jest w rękach i spółdzielczych i państwowych (młyny), a również prywatnych.

Obecnie na terenie całego państwa jest czynnych 621 spółdzielni pracy wiejskiej. Czynniki rządowe nie chcą zmuszać do tworzenia spółdzielni, licząc raczej na skutki wychowawcze.

W miastach ruch spółdzielczy obejmuje tylko 30 proc. całego handlu. Spółdzielnie spożywców stale rozwijają się, ale natrafiają na dużą konkurencję ze strony handlu państwowego. Tak samo zorganizowanie na terenie fabryk konsumów wpływa na zmniejszenie członków spółdzielni.

Państwo jest czynnikiem ustalającym ceny na artykuły przemysłowe i spożywcze, a ponieważ marża zysku, wahając się w granicach od 6 — 7 proc. jest b. niska, ponoszone koszty handlowe i manca zjadają cały zysk. Spółdzielnie muszą wobec tego posługiwać się kredytami państwowymi, udzielanymi zresztą w zadawalającej wysokości.

W Jugosławii rozwijają się ostatnio b. dobrze spółdzielnie rzemieślnicze, zastępujące drobne, staroświeckie warsztaty dnia wczorajszego.

Struktura organizacyjna spółdzielczości jugosłowiańskiej została zorganizowana w następujący sposób. W każdym powiecie istnieje powiatowy związek gospodarczy, roztaczający opiekę nad całym terenem. W każdej republice zostały zorganizowane republikańskie związki gospodarcze. Miejskie spółdzielnie, które nie należą do związków powiatowych, tworzą osobne federacje. Wszystkie spółdzielnie i związki należą do Głównego Związku Republikańskiego. Łączność pomiędzy związkami republikańskimi a rządem utrzymuje specjalny przedstawiciel. Wszystkie związki republikańskie, których jest w Jugosławii 6, należą do Ogólnopaństwowego Związku, mającego swoją siedzibę w Belgradzie. Pomiędzy nim a rządem utrzymuje łączność specjalna komisja.

Struktura powyższa nie jest jeszcze w Jugosławii całkowicie wykończona; lecz obecnie konsekwentnie zostaje realizowana. **J. Ż.**



Młodzież jugosłowiańska przy pracy

tak i nie

Królewski nietakt

POD powyższym tytułem zamieścił „Wieczór" w Nr 326 (418) w rubryce "Notatnik Warszawski" następujące spostrzeżenie ze Zjazdu „Społem".

„Delegat na Zjazd „Społem" p. Król z Bydgoszczy, wzbudził ogólną sensację, gdy domagał się likwidacji tygodnia „Tydzień". Swój wniosek motywował następująco:

„Mimo, że „Tydzień" zamieścił w ostatnim numerze artykuł wicemarszałka Szwalbego, to jednak dał również opis uroczystości zaślubin królewskich w Londynie!"

Antykrólewskie nastawienie obywatela Króla było sensacją dnia".

Pokój na dalekim wschodzie

USIŁOWANIA amerykańskie zmierzające w kierunku zwołania w szybkim terminie konferencji celem przygotowania układu pokojowego z Japonią spełzły chwilowo na niczym. W planach amerykańskich leżało, podobnie jak w wypadku z Niemcami, przywrócenie potęgi gospodarczej Japonii. Ze stanowiskiem tym nie mógł się zgodzić ani Związek Radziecki, ani też Chiny, nawet Chiny Czang - Kai - Czeka.

W sprawie Japonii, znów w pewnym stopniu podobnie do Niemiec, odszkodowania wojenne odgrywają poważną rolę. Jak podają ze źródeł amerykańskich, rząd USA pragnie zatrzymać do swojej wyłącznej dyspozycji dla dalszego podziału między inne państwa 18 procent sumy odszkodowań. Na te 18% składa się 10%, których domagają się Chiny i 8% Zw. Radzieckiego, Stany Zjednoczone dla siebie samych otrzymają niezależnie od tego 28%. (p).

Wojna religijna w Indiach

SYTUACJA, jaka wytworzyła się Indiach po utworzeniu dwuch państw, różniących się w gruncie rzeczy tylko wyznaniem, a nie narodowością mieszkańców, zasługuje w pełni na miano wojny religijnej. Po tragicznym masowym przesiedleniu milionów hindusów z Pakistanu do Indii i tyluż milionów muzułmanów z Indii do Pakistanu i uprzątnięciu zwłok setek tysięcy ofiar bratobójczych walk, na pierwszy plan wysunęła się sprawa Kaszmiru.

Maharadża kaszmiru, który nie jest muzułmaninem jak większość jego poddanych pragnął początkowo na wzór swego kolegi z Hejderabadu i szeregu innych książąt zachować możliwie całkowitą niezależność. Gdy to się nie udało, poszukał oparcia w Indiach. Ludność muzułmańska była z tego niezadowolona. Wybuchło powstanie, popierane mniej lub bardziej otwarcie przez Pakistan. Maharadża sprowadził posiłki z regularnej armii indyjskiej.

W ten sposób przybyło jeszcze jedno ognisko niepokoju na kuli ziemskiej. (p)

Do czego doszło!

WSZYSTKIE kraje przywiązują znaczną wagę do międzynarodowych zawodów sportowych. Nie zważa się przeważnie nawet na trudności dewizowe i nawet najbiedniejsze kraje starają się występować poza granicami swego państwa. Jest to jedyna możliwość porównania poziomu sportowego w skali światowej.

Ostatnio jednak sportowcom przybył nowy kłopot. Władze celne Francji zabroniły zawodnikom szwajcarskim wywozu zdobytego puharu. Srebro jest materiałem drogocennym i nie może opuścić granic Francji. Szwajcarzy zbuntowali się i oświadczyli, że więcej do Francji nie pojadą. Po wielu targach doszło do kompromisu. Sportowcy będą mieli prawo do zabrania nagród o ile udowodnią, że wydali na hotel i utrzymanie więcej, niż wynosi wartość nagrody! (p)

Afront w Iraku

W PAŃSTWACH arabskich odbywa się od dłuższego czasu wyścig między Anglikami i Amerykanami o utrzymanie, względnie obalenie rekordu wpływów, posiadanych przez kapitalistów naftowych w poszczególnych kraikach.

W związku z planem podziału Palestyny między Żydów i Arabów, nastąpił pewien zwrot opinii arabskiej na korzyść Anglików. Odczuli to na swej skórze członkowie delegacji kongresmenów amerykańskich, którzy zamierzali zwiedzić Irak. Na dzień przed wylądowaniem parlamentarzystów, irackie MSZ zawiadomiło posła amerykańskiego, że nie może ręczyć za bezpieczeństwo kongresmenów wobec „wzburzenia panującego wśród ludności". Politycy amerykańscy pozostali w Kairze. (p)

„Święta rodzinka"

POD tym przydomkiem rodzina pani Czang - Kai - Czek, wpływowej małżonki chińskiego generalissimusa zyskała sobie mało zaszczytną popularność w Nankinie i Szanhaju, w stolicy i centrum handlowym Chin Kuomintangu.

Oto lista najbardziej wpływowych przedsiębiorstw chińskich: Lu-Czunf Tow. Akc. — właściciele L. T. Soong, brat b. premiera i pani Czang - Kai - Czek i H. H. Kung, szwagier pani Czang - Kai - Czek.

Towarzystwo Tytoniowe Nan-Yang — prezes zarządu, b. premier T. V. Soong, Chińskie Tow. dla rozwoju finansowej pod zarządem T. A. Soonga, trzeciego brata pani Czang-Kai-Czek.

S. A. Goldmont — właściciele bracia i siostry pani T. V. Soong.

Chińsko - Amerykańskie Towarzystwo Gumowe — własność braci T. A. i T. V. Soongów.

Tow. dla rozwoju doliny Jang - Tse, własność Dawida Kunga, syna H. H. Kunga i bratanka pani Czang - Kai - Czek.

To jedynie początek bardzo długiej listy, która obejmuje członków tych dwóch rodzin aż do trzeciego i czwartego stopnia pokrewieństwa. Podobno — jeżeli można wierzyć złośliwym (i głodnym) Chińczykom — w tydzień po urodzeniu się syna Dawida Kunga, założone nowe towarzystwo akcyjne, którego właścicielem dla odmiany został noworodek. (p)

Fata Morgana

PRZED oczyma milionów nieszczęśliwych wysiedleńców, którzy po skończeniu działań wojennych znaleźli się na łasce losu w zachodniej Europie i przed milionami bezrobotnych we Włoszech ukazywano miraż emigracji do bogatych i słabo zaludnionych krajów amerykańskich. Największy i najgłośniej reklamowany projekt przesiedlenia w najkrótszym czasie 3 do 4 milionów robotników włoskich do Argentyny skończył się obecnie układem w sprawie emigracji 300.000 obywateli włoskich w ciągu najbliższych 6 lat.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa emigracji do Brazylii. Kraj ten przedstawił plan osiedlenia 50.000 wysiedleńców. Koszty osiedlenia miały wynosić ok. 1000 dolarów na osobę. Stany Zjednoczone zgodziły się udzielić długoterminowego kredytu, ale następnie z tego zrezygnowały. Okazało się, że pieniądze miały utknąć w kieszeniach projektodawców, a osiedleńcy mieli otrzymać tylko drobne pożyczki krótkoterminowe.

O inych krajach nie ma właściwie co pisać, gdyż do Stanów Zjednoczonych nie ma imigracji. Przyjeżdżać mogą tylko krewni już dawniej osiadłych imigrantów. W pierwszym roku po wojnie było ich ok. 100.000, w tym wielu Niemców, podczas gdy wysiedleńcy nadal siedzą w obozach.

Quas DIETA

Okazuje się, że dieta nie jest wcale czymś skomplikowanym.

A z początku miałem poważne zmartwienie, że nie zapamiętam nigdy, czego mi nie wolno spożywać.

— Szczawiu niech pan nie je, — powiedział doktór. — I szparagów.

— A szpinak? — szepnąłem nieśmiało.

— Szpinaku też. Ani kapusty.

— A pomidory, panie doktorze...

— Pomidorów także. Poza tym mięsa, rosołu, sosów i jajek surowych...

— A śledzika?

— Mowy nie ma.

Wróciłem do domu złamany.

— To cóż ja ci będę dawać? — zatroskała się żona. — Bo ryb to wiem na pewno, że nie można. Wuj Boleś też nie mógł, kiedy zachorował na nerki. Jabłek tak samo. Ani śliwek. Nawet móżdżku mu nie pozwolili!

Osowiałem bardzo, bo w tych warunkach przyszłość przedstawiała się niewesoło.

Na dobitkę nadszedł Pawełek, który już od progu wołał:

— A co? Nereczki, słyszałem!

A wiesz, że ci nie wolno używać herbaty, kakao i czekolady?

— Czego jeszcze? — zapytałem ponuro.

— Czego? No, rzodkiewek, cebuli, pietruszki... Już nie pamiętam dobrze, ale mam w domu zapisane. Powiem ci przez telefon... Kiedyś na pamięć wiedziałem... Dwa lata byłem na diecie...

— Dwa lata?.... — jęknąłem.

— A co ty chcesz? To jeszcze dobrze. Marian do końca życia musi zostać na diecie. O! Do niego zadzwoń! On ci dopiero powie, czego masz unikać!

Rzeczywiście, Marian recytował, jak z książki.





Quas —
Stefan Kwaśniewski

— Nie wolno ci mleka, rabarbaru i selerów. Ani kawy, pieprzu, kminku, wędzonki, musztardy i rokworu. Palić też nie możesz.

Sytuacja wyglądała rozpaczliwie.

A tymczasem sobie cudownie poradziłem.

Wyrzuciłem nawet notes z indeksem zakazanych potraw.

I odżywiam się w bardzo prosty sposób:

Jem chałwę, landrynki i chlebek świętojański.

Tego mi nikt nie zabronił.

Nowe książki

Jack London — Odysseja Północy. Dawne to, przebrzmiałe już dziś legendarne czasy, gdy na Alasce nie było kolei, radioodbiorników elektrycznych, kuchni, pianoli, centralnego ogrzewania. Po przez bezkresne pustynie Jukonu trzeba było przedzierać się pieszo lub wędrować z zaprzęgiem psów. Nie było wygodnych linii kolejowych i dotarcie do Dawsonu stolicy Alaski, było wyczynem godnym prawdziwego mężczyzny. O tych to czasach opowiada w swej książce London.

Przekład S. Kuszelewskiej, str. 169. Wydawnictwo E. Kuthana.

Janina Brzostowska — Płomień w cierniach. Poezje.

J. Brzostowska jest autorką już kilku tomów poezji wydanych przed wojną, przez Wyd. Hoesicka. Przychylnie wspomina o jej twórczości Kazimierz Czachowski w swym „Obrazie literatury polskiej". „Płomień w cierniach" jest pierwszą pracą Brzostowskiej wydaną obecnie. Na treść jej składają się wiersze podzielone na kilka rozmaitych cykli. Najbardziej udanymi z nich są „Erotyki", dzięki tkwiącej w nich dużej bezpośredniości uczuć. Wydawnictwo E. Kuthana, str. 106.

Kazimiera Jeżewska — Wiersze niemodne. Poezje. Charakter swej poezji definiuje autorka samym tytułem zbioru. Należy przyznać K. Jeżewskiej dużą dozę odwagi, dzięki której nie zraża się niepopularnością starego stylu w poezji, lecz nadal w myśl jego zasad tworzy. Można też przypuścić, iż wielu czytelników chętnie widzi bezpretensjonalny i prosty rodzaj twórczości, który reprezentuje autorka. Poezja Jeżewskiej jest kulturalna, przypomina delikatny piórkowy rysunek. Specjalnie wyróżnić można cykl „Miniatury", świadczący, iż autorka głęboko czuje i rozumie przyrodę. Str. 80. Wydawnictwo E. Kuthana.

A. Chlondowski — Nowa Pieśń. Śpiewnik dla młodzieży i starszych w 3 zeszytach, razem 76 pieśni na 1, 2 i 3 głosy. Śpiewnik przynosi nowe wyłącznie melodie do tekstów przeważnie jeszcze nie śpiewanych. Obfity wybór piosenek patriotycznych, ideowych, okolicznościowych itp. Nakładem autora.

Ostrze na ostrze

KTO CHCE, NIECH WIERZY...

Jedno z popołudniowych pism warszawskich prowadzi niezmiernie interesujący i pouczający dział porad astrologicznych. Są tam uspołecznione horoskopy na dzień bieżący, przestrzegające przed zgubnymi skutkami: nadmiernego używania napojów wyskokowych, nieuwagi, roztargnienia, niepłacenia długów i podatków, niewletności małżeńskiej oraz braku szacunku dla osób starszych. Są także porady indywidualne — balsam ukojenia dla znękanych i rozdartych serc.

Postanowiłam i ja spróbować raz szczęścia w tej popularnej dziedzinie. Otwieramy w „Tygodniu" dział „Kto chce, niech wierzy".

Pod przychylnym znakiem stare go i roztropnego Jowisza, politycy w omawianym przez nas czasokresie są wybitnie skłonni do długotrwałych i żmudnych pertraktacji dyplomatycznych. Coprawda niektórym nieco nerwowym osobom śnić się może po nocach psotny Mars i mogą one usiłować wprowadzać pewnego rodzaju zamieszanie do wymienionych wyżej pertraktacji. Niewątpliwie jednak górująca planeta Jowisz przywoła je do porządku, wylewając kubeł zimnej wody na głowę niesfornego Marsa. (Uwaga — tanie kubły do nabycia w spółdzielni „Pokój" z okazji zbliżających się Świąt).

Trudno w tej chwili przewidzieć, jak ukształtuje się przyszłość dziecka, urodzonego przez konferencję londyńską przy asyście czterech ministrów, o których wyżej była mowa. Niektórzy twierdzą, że będą to dwojaczki, jako, że świat może się rozpołowić — my jednak sądzimy wraz z wieloma trzeźwymi i doświadczonymi ludźmi, iż nie jest to wskazane ze względów oszczędnościowych. Zawsze to łatwiej jest przy dzisiejszych trudnościach aprowizacyjnych, lokalowych itp., utrzymać jedno dziecko, niż dwoje. Wychowywać też łatwiej. Zwłaszcza, jeśli dzieckiem takim mają być Niemcy. Wyobraźmy sobie takie niemieckie dwojaczki. Pilnujesz jednego chłopczyka, żeby grzecznie odrabiał lekcje, a drugi — ani się obejrzysz — sąsiadowi szybę kamieniem wytłukł, albo dzieciom sąsiadki guza nabił.

Znaczne wpływy w bieżącym miesiącu roztaczać będzie Merkury. Jest to planeta, sprzyjająca kupcom i wszelkim transakcjom handlowym. Należy jednak przestrzec wszystkich tych, co nazbyt skwapliwie korzystają z ofiarowanych im pożyczek, iż twardy pieniądz — w myśl przysłowia jaki pan, taki kram — miewa zazwyczaj twardego i wymagającego gospodarza. Merkury jest sprytny, a dolar twardy. Zamiast przestarzałych form kapitalistycznych operacji finansowych (uwaga — często bolesnych...), polecamy spółdzielcze formy samopomocy, jako bezwątpienia zdrowsze i mogące skuteczniej zapobiec trudnościom gospodarczym. Chętnie służymy przykładem i wskazówkami.

A teraz kilka odpowiedzi indywidualnych.

Generał de Gaulle, Paryż i mister Mosley, Londyn. — Horoskopów stawiać nie potrzeba. Wystarczy dla przestrogi przeczytać dzieje grzechów niejakiego Hitlera. Kamień szczęścia? Chyba ten, o który (mam nadzieję) się potkniecie.

Pan Stanisław Mikołajczyk, USA Słusznie Pan ocenił swoją obecną „passę" — „Jedźmy, nikt nie woła"... Passa jest rzeczywiście zła. Nie widzę jej końca. Radzę zająć się hodowlą drobiu i zaprzestać polityki.

Ministerstwo Kultury i Sztuki, Warszawa. — Narazie nic jasnego nie mogę przewidzieć. Radzę nie zdradzać się ze smutkiem wobec otoczenia i rozszerzyć krąg przyjaciół. Ludzie was nie doceniają dlatego tylko, że życie trochę w odo sobnieniu.

Minister Minc. — Dzień szczęśliwy — kiedy Sejm zatwierdzi budżet, kamień szczęścia — węgiel.

Warszawianka — należy wystrzegać się wypadku. W tym celu nie należy jeździć tramwajem, autobusem, trolleybusem, taksówką, dorożką, ani też chodzić piechotą po Warszawie. Zmartwienie chwilowo ominie panią: zieleniec powstanie na miejscu pani odremontowanego domu prawdopodobnie dopiero za kilka miesięcy. Przeczytała pani dnia 2 bm. w piśmie warszawskim, na którym wzorujemy naszą niniejszą rubrykę, iż „odrobina wódki od czasu do czasu jest dla męża równie nieodzowna, jak witamina dla oseska". Pyta pani, czy odwrotnie także? O tile — o ile. Mężowi można dać witaminę, dla dla oseska wódka raczej niewskazana. Proszę się nie pomylić.

Z poważaniem
AVIS.

KRONIKA KULTURALNA

CIRCULEZ, messieurs et dames, circulez! — krążcie, panie i panowie, krążcie! czyli postępujcie naprzód, posuwajcie się, cyrkulujcie! Takie uprzejme nawoływania „ażanów" czyli policjantów słyszy się w miastach francuskich, gdy nagle powstaje jakiś ścisk czy zbiegowisko, wywołane wypadkiem ulicznym Cyrkulować — to dobre choć nie polskie słowo na oznaczenie wszelkiego ruchu ulicznego. Powinien on być cyrkularny czyli krążący, obiegający, rytmiczny, miarowy.

Duże miasto ze swymi jezdniami i chodnikami, ze swymi środkami lokomocji — to żywy organizm, ruch w mieście — to jak obieg krwi w organiźmie. Musi ten obieg podlegać prawu rytmu naturalnego i pulsacji. Zatory w ruchu stają się niby arterioskleroza: są jak brzydkie twardziele i skrzepy, które powodują wypadki, ataki i katastrofy. U nas publiczność tworzy wciąż takie skrzepy w tramwajach, cisnąc się do nich z obu pomostów; tworzy je na każdym skrzyżowaniu ulic, wystając tam niepotrzebnie, gapiąc się nie wiedzieć na co. Circulez, messieurs et dames, circulez... Takie same twardziele powstają przed wejściem do kin; przed grajkiem ulicznym, który przecie nie jest koncertantem, lecz człowiekiem raczej żebrzącym: dać mu więc co prędzej złotówkę — i circulez, circulez... Na takie nieznośne skrzepy, które trzeba by rozsadzać dynamitem, natkniemy się nagle, gdy dwie eleganckie kumoszki albo dwóch zażywnych mosterdziejów utnie sobie pogawędkę akurat na samym rogu albo na samym środku chodnika, zamiast usunąć się o dwa kroki pod mur lub wnękę bramy.

Naprożno byśmy przemawiali do nich: Cyrkulujcie, mili państwo, cyrkulujcie. Narazimy się jeszcze na grubijaństwo. Pomyślą, że to obraza. Dużo ludzi nie rozumie jeszcze, jaką wartość i moc ma rytm.

„EXPRESS ILUSTROWANY" zaatakował Polskie Radio, w szczególności rozgłośnię łódzką, która w istocie jest niczym więcej, jak transferem Warszawy: własnych audycji miewa ona zawstydzająco mało. „Express" powołuje się na słowa Prezydenta Rzplitej, który na otwarciu radiostacji wrocławskiej powiedział, że „radio jest potężnym środkiem wychowania i uspołecznienia młodzieży i dorosłych, jest nowym instrumentem kształtowania psychiki ludzkiej i donioslym orężem upowszechnienia oświaty, sztuki i kultury". A tego wszystkiego, powiada "Express", radio nie spełnia. Możliwe. Właśnie w nowootwartym teatrzyku łódzkim — „Osa", weteran rewiowy Karol Hanusz, witany i żegnany burzą oklasków, doprowadza publikę do paroksyzmów śmiechu dwoma nieśmiertelnymi numerami radiowymi: „W studio" i Babcia z Grodziska". Babcia, jak wiemy, założyła sobie radio, bo chciała przyjemności i pożytku, rozrywki i nauki, chciała — choć staruszka — jeszcze się wychować i uspołecznić. Zamiast Aidy i Trawiaty, koncertu i odczytu, wykładu i słuchowiska słyszy tylko wsiąż: czer, czer, czer — szer, szer, szer — mer, mer, mer —ter, ter, ter... Taka już widocznie właściwość radia. Od jego poczęcia, bo piosenki Hanusza są jeszcze przedwojenne.

Zjazd wych. gimnazjum i liceum im. J. Słowackiego w Warszawie

W dniu 14 bm. (niedziela) odbędzie się Zjazd b. wych. gimn. i liceum im. J. Słowackiego w Warszawie. Miejsce Zjazdu — gmach gimnazjum przy ul. Wawelskiej 46.

Zgłoszenia i składki (Zł. 300) przyjmuje i wydaje karty wstępu kancelaria gimnazjum codziennie w godz. 9 — 17.



U POETÓW

MODLITWA DZIECIĘCA

Proszę Ciebie, Boziu,
co się za nas trudzisz
o zgodę i miłość
wśród dorosłych ludzi.

Armaty i czołgi
niech w polu zostawią,
w żołnierzy i w wojnę
niech się już nie bawią.

Niech każdy spokojnie
żyje w swoim kraju
wśród tych, co go lubią
i co go kochają.

Spraw niech każde dziecko
ma bułkę i mleczko,
w pokoiku piecyk
i własne łóżeczko,

Mamusia robótkę,
babcia śliczną bajkę,
a tatuś gazetę
pantofle i fajkę.

Spraw niechaj rodzice
co dzień po robocie
wracają z uśmiechem
i z pudłem łakoci!

PRZEKRĘCALSKI

Jeden bardzo śmieszny chłopak
wszystko wymawiał na opak.
Każdy wyraz, każde słowo
przeinaczał swą wymową.
Według niego abecadło
winno zwać się Przekręcadło.
Tak samo jak harmonijka
winna zwać się Grajmonijka.

Gdy do niego kto zagadał,
on jak echo odpowiadał.
Na przykład: — Stąpaj schodami.
On na to: — Schoduj stopami.
Mówią: — Nie machaj rękoma.
To on: — Nie rękuj machoma.
Lub: — Słuchaj uchem, nie brzuchem.
On: — Brzuchaj słuchem nie uchem.

Żadnego uszanowania
nie miał dla cudzego zdania.
Stwierdzają: — Ranny deszcz pada.
On na to: — Panny świerszcz zjada.
Pytają: — Która godzina?
On na to: — Wpół do komina.
Wołają: — Hej, Tomasz, czekać.
On na to: — Hej, kto ma szczekać.

Nigdy się nie zastanawiał
gdzie było r on ł wstawiał.
Mówią: rączka — to on: — łączka.
Mówią: piorun — to on: — piolun.
Mówią: korek — to on: — kołek.
Mówią: ryknął — to on: łyknął.

Jeszcze gorsze tworzył brzmienia,
kiedy r na l zamieniał.
Mówią: kufer — to on: — kufel.
Mówią: kratka — to on: — klatka.
Mówią: fraki — to on: flaki.
Mówią: pruje — to on: — pluje.

Wreszcie taka jego praca,
że wyrazy całe skracał.
Mówią: rzeczka, sieczka, beczka
szwaczka, płaczka, pomywaczka.
To on: rzeka, sieka, greka,
szwaka, płaka, pomywaka.

Nagle umilkł. Smutny siedział,
bo nie wiedział, co powiedział.

Wiersze Mariana Piechala (dla dzieci) wybrane ze zbioru pt. „Raj na ziemi", który ukaże się w dniach najbliższych na półkach księgarskich.

TRĄBA

Zabrzęczał wiecznie zachrypnięty dzwonek elektryczny u moich drzwi, a gdy otworzyłem, skromny z wyglądu pan wręczył mi broszurkę, mówiąc:

— Na biednych. Dwadzieścia złotych.

Wyjąłem natychmiast tzw. banknot i wziąłem broszurę. Coś religijnego. Na różowej kartce tytułowej u góry napis: „W ostatniej chwili". Pod napisem rysunek, nieźle, nawet artystycznie wykonany: wielki kamienny krzyż wysterka spośród spienionych, rozhukanych bałwanów, a ramion jego chwyta się rozpaczliwie niewiasta w długiej szacie i z rozwianym włosem.

Na drugiej stronie garść szczegółów objaśniających: podane jest nazwisko autora, przestrogi, z zaznaczeniem, że przetłumaczono ją z angielskiego. Nazwisko autora brzmi: Carlyle B. Haynes. Przestroga wydana została obecnie w Krakowie przy ulicy Lubelskiej Nr 25 nakładem „Unii A. D. S.". Na końcu 40-stronicowej broszury znalazłem spis rzeczy. Oto jego kolejne punkty: Najwznioślejsze wydarzenia w dziejach ludzkości — W obliczu nagłych zmian — Czy bliskie jest przyjście Pańskie? Olśniewająca chwała Syna Bożego— Wrzenie socjalne jako znaki czasu. — Niebezpieczne czasy — Wzgardzenie zasad moralnych. Swiat ,w zawieszeniu. — Szalony i pijany świat. — Naprawa świata. — Boski plan naprawy. Tysiąclecie chwały — Odnowienie.

Już ze spisu rzeczy i okładki widać, że broszura jest jak gdyby dzwonkiem alarmowym. który dzwoni ostrzegawczo na pięć przed dwunastą: jeżeli szalony i pijany świat będący w zawieszeniu. nie naprawi się. zaleją go rozhukane bałwany, wyobrażone na okładce; jeśli zaś usłucha proroczego głosu mister Carlyle B. Haynesa. nastąpi przyjście Pańskie i tysiącletnie Odnowienie. Jasne jest, że broszurę mógł napisać tylko sekciarz i — jak każdy sekciarz — mniej lub więcej fanatyczny.

— Któż to może być? — pomyślałem. Oczywista, członek i wyznawca Unii ADS. Nie mogłem początkowo rozwiązać zagadki tych trzech liter. Ale na ostatniej stronie okładki znalazłem firmę wydawniczą: „Unia Adwentystów DS". Axa — uderzyłem się w czoło: adwentyści! To sekta amerykańska, podobna w swych fantazjach do mormonów czy kwakrów. Adwentyści, czekający na **„adventus"** czyli nadejście końca świata, i sądu ostatecznego, i Antychrysta-Szatana, z którym „Jechowa" stoczy bój śmiertelny. A litery „DS" znaczą „Diei Septimi" — „dnia siódmego": adwentyści dnia siódmego" — tak się ta sekta oficjalnie w Ameryce nazywa. Założył ją (jak poucza encyklopedia) w roku 1831 jakiś farmer, który już za życia swego dwukrotnie zapowiadał koniec świata: na rok 1843 i 1847. Gdy się to nie sprawdziło, adwentyści przenieśli termin na r. 1914. Utrafili o tyle, że roku tego wybuchła pierwsza wojna światowa, istotnie dość eschatologiczna w swym przebiegu. Mimo to i wówczas rzecz nie doszła do skutku. Wyznaczają więc nowy termin: rok 1947, być może jako setną rocznicę drugiego. niedopełnionego. Cóż? Qui vivra, verra — jak to się mówi. Czekać niedługo — jeden miesiąc.

Nic nie mam, nic nie mogę mieć ani przeciw końcowi świata, ani przeciw adwentystom. Mam tylko zastrzeżenia co do tricków. że się tak wyrażę — amerykańskich, za pomocą których sprzedają swe przestrogi. Na biednych? A pocóż biednym wsparcie, jeśli i ich i nas wszystkich czeka w najbliższych tygodniach zagłada: trudno bowiem przypuścić, żeby świat cały usłuchał raptownie głosu mister Haynesa i nawrócił się w ciągu miesiąca, jaki do końca roku pozostał.

Broszurka mister Haynesa przypomniała mi historię, jaka się wydarzyła w Polsce gdzieś pod koniec r. 1938. Jakieś warszawskie wydawnictwo przedrukowało wówczas i puściło na rynek książeczkę pewnego gromiciela nieprawości ludzkich i moralisty w typie zakrystiana wiejskiego, mianowicie księdza Klemensa Bolesławiusza, żyjącego w w. XVII. Książeczka ta, od swego pierwszego wydania z przed 300 lat, była wielokrotnie w XVII, XVIII i XIX wiekach przedrukowywana i sprzedawana na jarmarkach razem z „Sennikiem egipskim" i „Historią o siedmiu mędrcach". Nosiła tytuł rzeczywiście wstrząsający: Przeraźliwe echo trąby ostatecznej albo cztery rzeczy ostatnie, człowieka czekające". Powołując się na odpowiednie wersety Pisma św., groziła wielu „prawołomcom" i „prawoprzestępcom" straszliwemi karami.

Pisana była sugestywnie, wierszem jakgdyby antycypującym późniejszego ks. Bakę. Na przykład: „Biada, niewierni egzekutorowie, płaczących sierot źli opiekunowie! Wnet przypłacicie waszej niewierności, łakomstwa, złości!" Albo: „Biada, przekupieni! Biada wam, sędziowie! Źli, chytrzy zdziercy prokuratorowie! Z skóry odzierać was będą czartowie, piekła katowie!" Albo: „Biada wam, co skarb dobra powszechnego **kradziecie**, a płacz ludu ubogiego jecie, pijecie! Stąd pięknie chodzicie, siebie stroicie. Odzierać was ze skóry będą szatanowie i płakać piekielni katowie! Pokutę czyńcie, gdy jeszcze żyjecie, jeżeli piekła uchronić się chcecie!" W ten sposób, co raz przeraźliwiej ostrzegał ks. Bolesławiusz, dobierając się po kolei — od egzekutorów i łapowników — do najmożniejszych świata tego: do kasztelanów i senatorów wciąż cytując gęsto Pismo św.

Jego „Trąba ostateczna" doznała osobliwej przygody :Komisarz Rządu na m. Warszawę skonifskował ją, w przekonaniu, że pod dziwnie brzmiącym, podejrzanym nazwiskiem ks. Bolesławiusza ukrył się jakiś satyryk współczesny (może Światopełk Karpiński albo Antoni Słonimski), sama zaś „Trąba" jest paszkwilem na biurokrację sanacyjną, bo kogóż może na przykład oznaczać egzekutor, jeśli nie sekwestratora, a skazanie go na męki piekielne czy nie jest obrazą urzędnika państwowego? Było z tem dosyć wówczas śmiechu.

Skojarzył mi się jakoś mister **adwentysta** z poczciwym księdzem Bolesławiuszem. W rzeczy samej: mister adwentysta pisze tak samo, tyle że prozą: „Głośne dźwięki trąby archanielskiej zagrzmią dnia tego nad wszystkimi. Któż zdoła opisać okropności dnia tego! Co za narzekania! Co za wyrzuty sumienia! Ale wtedy już wszystko przepadnie!" Trzysta lat dzieli Haynesa od Bolesławiusza ,a wciąż to samo. Nie ma tylko cenzury sanacyjnej, któraby zapewne Haynesa skonfiskowała.

Jerzy Wyszomirski

Film TYGODNIA



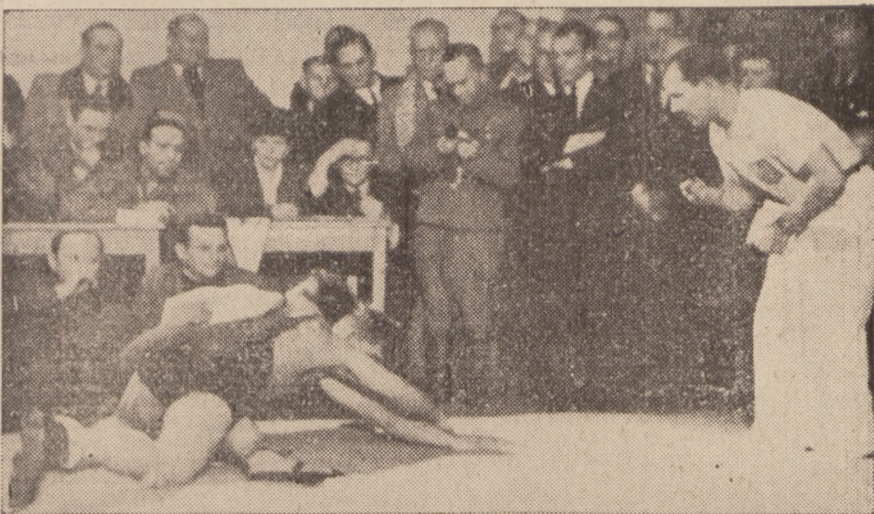
Molotow i Bevin w przyjacielskiej rozmowie przed konferencją Czterech Ministrów w Londynie.

SAP.



Rozwinięcie sztandaru Zw. Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej.

SAP.



Międzypaństwowe zawody zapaśnicze Polska — Czechosłowacja odbyły się w Warszawie w dniu 30 listopada br.



Laureat nagrody literackiej Nobla na rok 1947 — André Gide.

SAP.



W Warszawie odbyły się mistrzostwa gimnastyczne. Na zdjęciu: ćwiczenia na kółkach.

100 WIERSZY O SPORCIE

NIE PRZEBRZMIAŁY jeszcze echa sosnowieckich awantur na boisku piłkarskim, gdzie fruwały kamienie i stoczono bójki z milicją, a już w innej miejscowości Zagłębia dali znać o sobie pseudo - sportowcy. Tym razem „bohaterami" iście południowo - amerykańskich wyczynów byli „sportowcy" Myszkowa. Trzeba przyznać, że repertuar ich wybryków był zgoła oryginalny i bardziej ...urozmaicony, niż „sportowców" z Sosnowca. Niezadowoleni z orzeczeń sędziego, zacietrzewieni kibice usiłowali... wykąpać arbitra w płynącej obok boiska rzeczce. Bójka, jaka przy tym wynikła, była tylko niewinnym tłem tych igraszek.

Każdy medal ma dwie strony, to też notując powyższe ze smutkiem, z drugiej strony należy wyrazić zadowolenie z reakcji władz sportowych. Posypały się dożywotnie dyskwalifikacje na piłkarzy, nadto wystąpiono przeciwko winnym na drogę sądową.

Niedawno wpłynęło zaproszenie dla naszych piłkarzy na tournée do Meksyku. Propozycja egzotycznej wyprawy wywołała w Polsce wiele komentarzy. Bo dlaczego zaprosił nas właśnie Meksyk? Meksyk, kraj permanentnych rewolucji i awanturniczych przygód. W kołach sportowych tę osobliwą sympatię zaczęto łączyć z wypadkami w Sosnowcu. Widocznie za ocean dotarły wieści o niezwykłym temperamencie naszych piłkarzy, stąd więc zgłoszono ofertę. Piłkarze Zagłębia nie wiedzieli widocznie jeszcze o tym, że nasze władze sportowe nie akceptowały propozycji meksykańskiej i do wianuszka wyczynów sosnowieckich chcieli dołożyć myszkowski kwiatuszek, aby wzmocnić szanse wyjazdu do Meksyku.

sirzostwach Europy, gdzie zajęła ósme miejsce, wygrała trzy spotkania z Austrią, Rumunią i Włochami. Nasi natomiast zapaśnicy ani razu w tym roku nie wysunęli nosa zagranicę, a gdzie, jak nie na arenie międzynarodowej najlepiej można nabrać rutyny?

CICHO I BEZ WIĘKSZEGO rozgłosu pracują nasi gimnastycy przyrządowi. Właśnie ostatnio odbyli mistrzostwa Polski w wyniku których tytuł mistrzowski w konkurencji ogólnej pań zdobyła krakowianka, Rakoczy, a w konkurencji panów, śląski górnik, Paweł Gaca. Obserwując smukłe i sprawne postacie naszych gimnastyków, ogarniał żal, że tej naprawdę pięknej i pożytecznej dziedzinie wychowania fizycznego poświęca się u nas tak mało uwagi.

WALASIEWICZÓWNA, kobiecy fenomen sportowy, przyjęła obywatelstwo amerykańskie. Panna Stanisława, albo miss Stella, jak ją nazywają w Ameryce, przynajmniej 20 razy przepłynęła ocean, zasilając reprezentację lekkoatletyczną Polski, która dzięki tej „kobiecie-autobusowi" miała doskonałą pozycję w Europie. Widocznie podróże morskie nie służą już Walasiewiczównie, która na „stare" lata wyrzekła się polskości. A może inna jest przyczyna zmiany jej obywatelstwa? Może nie bez wpływu na jej decyzję był „bunt" lekkoatletek w Polsce, którym „Stella" trenując się w doskonałych warunkach za oceanem stale od wielu lat zabierała tytuły mistrzowskie podczas swoich „wycieczek" europejskich?

Walasiewiczówna posiada obecnie trzy rekordy świata, z których 200 m z czasem 23,6 sek. jest marzeniem niejednego z naszych lekkoatletów



Rys. J. Żebrowski

„Piłkarze sędziego wrzucają do wody".

Wiadomość o odrzuceniu egzotycznego tournée nie dotarła pewno jeszcze do Meksyku. Z pewnością ubiegła ją depesza o ekscesach w Myszkowie, wywołując „zrozumiały zachwyt" i „uznanie" meksykańskich sportowców.

PO WIELOMIESIĘCZNYCH bojach poznańska Warta zasiadła na tronie piłkarskim, zdobywając tytuł mistrza Polski na rok 1947. Sukces poznaniaków jest w zupełności zasłużony. Warto podkreślić, że Warta była ostatni raz mistrzem Polski przed 18 laty. Ciągłość pracy dobrze świadczy o tym klubie. Tytuł mistrza zbiega się z 35-letnim jubileuszem Warty, więc „upominek" przypadł w odpowiednim czasie.

ZAPAŚNICY NASI przegrali międzypaństwowe spotkanie z Czechosłowacją w stosunku 3:5. Jaśniej oznacza to, że wygraliśmy 3 walki, przegrywając 5. Wynik ten nie przynosi wstydu naszym atletom, bowiem zważyć należy, że Czechosłowacja utrzymuje ożywione stosunki międzynarodowe w zapaśnictwie. Poza udziałem w mi-

SPOJRZYJMY jeszcze raz na zapaśniczy mecz Polska — Czechosłowacja, ale od strony kulis. Międzypaństwowe to spotkanie odbyło się w ciasnej sali na Pradze. Poprzedziły je nadprogramowe zapasy.. widzów. Stolica cierpi na brak hali sportowej, toteż nie bez przyczyny było zaproszenie przez organizatorów samego dyrektora PUWF i WF. Inż. Kuchar, przepychając się przez ciasne wejście do zatłoczonej ciasnej sali, mógł naocznie przekonać się, że sprawa wybudowania w Warszawie hali sportowej, odpowiadającej niezwykłej żywotności sportu, jest nader paląca.

NIESPODZIANKĄ meczów koszykówki, która awansowała w tym roku do godności ligi, było spotkanie drużyny łódzkiej YMCA z zespołem łódzkiego TUR-u. Turowcy uważani ogólnie za najsłabszy zespół ze wszystkich w lidze przegrali ledwie 34:35 z drużyną, która jest kandydatem na czołowe miejsce w lidze.

Zygmunt Weiss

Dziwaczny pas kilkukilometrowej szerokości, opasujący kadłub Generalnej Gubernii — to pogranicze. Tam życie tętniło swoistym, odmiennym rytmem. Oczy pograniczan zwrócone były stale na „nich". Czujni łowcy w zielonych mundurach i brązowych, długich butach przemierzali pas pograniczny, piechotą, konno, rowerem lub elegancką bryczką, przyglądając się bacznie każdej napotkanej osobie. Znali doskonale mieszkańców pogranicza oddanego ich pieczy. Wiedzieli, kiedy zawołać „Halt".

Był czas na początku ustalania linii granicznej, kiedy bujne życie pograniczan zwyciężyło przepisy. Przechodziły gromady młodych chłopców z Protektoratu do Reichu. Całe wozy przetaczały się przez granicę, gdy poodbierano chłopom ich ojcowiznę i osiedlono tam Wołyniaków, a z właścicieli uczyniono parobków. Przeciągano z narażeniem życia graty z jednej strony na drugą. Kobiety i dzieci dźwigały deski od łóżek, stoły, poduchy i pierzyny. Taszczono kufry i prosiaki.

Wreszcie zamęt uciszał się powoli. Celnicy nie mogąc sobie poradzić z miejscową ludnością, sięgnęli do żandarmerii miejskiej, która wzmogła czujność na szosie. Szczęśliwe przejście granicy przestało być rękojmią powodzenia całej wyprawy. Coraz to — gruchnęła grobowa wieść, — że w mieście pojmano Kazika Walisiaka, że Janek Malina pewnie się nie wykręci, że Maryna Janiaków osądzo na na trzy miesiące. — Granica poczęła wyciskać łzy z oczu jej mieszkańców. Wzmogła się czujność, zorganizowano cały wywiad pograniczny, którego perłą była Marciniakowa.

Coraz mniej było amatorów ryzyka. Życie ustaliło się i skostniało.

Do Reichu wędrował spirytus i słonina, a z powrotem cukier, trykotarze i lekarstwa. Niekształtne postacie, wywatowane pończochami, przemykały się przez granicę.

Los sprzyjał ze zmiennym szczęściem.

— — — — — — — — — — — — — —

W izbie panował mrok. Karbidówka tliła się na kominie, wydając nieznośny swąd. Dzieci spały w nogach łóżka. Piotr siedział przy stole i kręcił papierosa z samosiejki. Maryna obierała ziemniaki. Senną ciszę domowego wieczoru przerwało stukanie do okiennej szyby. Maryna porwała się ze stołka i wybiegła do sieni. Otworzyła drzwi ze skobla i wyjrzała na dwór. Uderzył w nią wicher wyprawiający harce ze śniegiem.

„Kto jest" — spytała szeptem.

„To ja, Mantej — Piotr jest?"—zapytał cień ludzki przylepiony do ściany domu.

„To idzieta dziś?" — spytała szeptem. Nogi jej zatrzęsły się z zimna i strachu.

„A juści, przynieśli dziś cukier i Majchrzak czeka pod dębem!

„Poczekajta" — szepnęła i poskoczyła do izby.

Piotr spokojny, jak zwykle, naciągał baranic ubranie, tląc papierosa. Poszedł do łóżka, pogrzebał w słomie siennika, wydostał parę butelek i wsadził w kieszenie spodni.

„Dzieci pobudź do kolacji i idź spać" — rzekł wychodząc.

„Jutro jadę ze szmuglem do Kielc".

Marynie odechciało się pracy. Spojrzała na mdły płomień karbidówki, ujrzała, jak Piotr z Mantejem skradają się przez most w śnieżnej zawiei, jak wyrasta przed nimi olbrzymia postać żandarma i usłyszała chrapliwe „Halt"!. Krzyknęła i podbiegła do szyby, ale w ciemnicy nic dojrzeć nie mogła. Panowały ciemności i cisza.

„Co się stało z czarną panią" — pomyślała — „już jej nie widać parę tygodni".

— — — — — — — — — — — — — —

Joanna — kurierka między Reichem i Gubernią pożegnała koleżankę i wyszła z jasno oświetlonego, ciepłego pokoju w ciemność i zawieję.

„Bądź zdrowa, Joanno, życzę powodzenia, bo wierzę w twą gwiazdę szczęśliwą, zresztą dziś jest niedziela, to napewno spili się i leżą pokotem na komorze celnej"

BARBARA MALANOWICZ



— „Najgorszy jest ten kawałek od jaru do mostu — szepnęła Joanna, ale myślę, że się uda".

Joanna wzięła małą walizeczkę i ruszyła w drogę. W szybkim czasie opuściła miasteczko i dostała się na szosę, którą szła samiuteńka jak widmo. Szosa wyciągała się w nieskończone kilometry, świecące wskazówki zegara posuwały się wolno. W ciemności zaczęły uśmiechać się do niej dziesiątki twarzy męskich i chłopięcych, którym wręczała spreparowane dowody, dzięki którym mogli przekroczyć granicę i wyrwać się ze znienawidzonego Reichu.

Tylko jemu jednemu się nie udało...

Tylko właśnie Marka pochwycono na granicy w momencie, gdy do ukrytej kieszeni wkładał dowody niemieckie, a wyjmował gubernialne, tuż przy granicznym słupie. Rozstrzelano go bez sądu, jako szpiega. Bez mogiły i pogrzebu zginął na progu nowego życia, które miało być ich wspólnym. Słup graniczny — stał się krzyżem na mogile Marka i Joanna nie mogła już porzucić swej pracy. Gdziekolwiek się znalazła o setki kilometrów od granicy, jakaś siła niewidzialna ciągnęła ją spowrotem, by nie zważając na trud i niebezpieczeństwo przemykać się, jak duch, po dobrze znanych szlakach.

Wsie pograniczne wiedziały, że w pewnych odstępach czasu przechodzi pasem granicznym wysoka, postać kobieca z nieodłączną walizeczką w ręku. „Czarna pani" — szeptały kobiety — i czyniły nieznaczny znak krzyża świętego, wysyłając w myślach pobożne życzenia, aby nie trafiła na służbę rudego Cabana, bo wiadomo było, że ten nie przepuści żadnej młodej kobiecie. Czarną panią, gdyby zdybał nawet zdala od granicy, to zawlókłby ją pod ladą pretekstem na komorę celną, gdzie nie byłoby już dla niej ratunku.

— — — — — — — — — — — — — —

W komorze celnej siedział Caban i Siegfried. Niedopite butelki wódki i resztki wieprzowiny na talerzu świad czyły o niedawnej libacji.

„Verfluchte Nacht" —bełkotał Caban, podchodząc do okna.

„Kondel, kiedy taki ważny, niech so bie idzie sam na obchód" — mruczał pod adresem komendanta. Ciepło wódki rozlało mu się po żyłach. Myślami pogonił hen, daleko, do pewnego miasteczka, gdzie w małym domku mieszkała jego tęga, jasna żona. Już przestał tęsknić i myśleć o niej. Tyle lat! Odzwyczaił się od domu, zapomniał niemal o małym Frycu. Wsiąkł w życie pogranicza, rozsmakował się w tropieniu śladów ludzkich, w warowaniu za rozłożystymi dębami lub w rozpadlinach jaru, by zdobywszy nieszczęsną ofiarę, wrzasnąć zwycięskie „Halt!" Rozkoszował się zwierzęcym przestrachem w oczach przemytnika. Mężczyzn odstawiał do miasta, a młode kobiety wlókł na swą kwaterę. by następnie puścić wolne. Raz jednej, która po oświetleniu twarzy latarką, okazała się nie dość młoda, kazał odejść i strzelił jej w plecy, gdy szepnąwszy „Danke". odwróciła się tyłem. Nie lubił tego wspomnienia.

„Verfluchte Nacht" — szepnął, naciągnął płaszcz i ruszył z izby. Kocim wzrokiem doskonale torował sobie drogę w ciemnościach. Wielkie, opasłe cielsko posuwało się zwinnie, tak, że nie trzasnęła gałązka pod stopą, nie chlupnęła woda w kałuży roz miękłego śniegu, żaden sygnał nie ostrzegł o grożącym niebezpieczeństwie. Umysł zmęczony alkoholem odzyskiwał równowagę w powiewie wichury. Jedną rękę oparł na pistolecie, drugą na guziczku latarki. Prowadził zajadłą rozmowę z wiatrem. Kłócił się z nim i sprzeczał, że nie da mu rady, że nie wykołuje go dzisiaj. Nagle przystanął, zdawało mu się, że powiew wiatru przyniósł mu czyjś cichy tłumiony kaszel. Nasłuchiwał, kaszel powtórzył się. Był to kaszel kobiecy i oczy Cabana zaświeciły, jak oczy wilka. Przyczaił się pod słupem granicznym przy moście.

Koło domu Marciniakowej, tuż obok młyna usłyszał jakieś szybkie kroki i stłumione głosy.

Caban zatail oddech. Wiedział już nieomylnie, że ktoś idzie przez granicę. Wiedział w dodatku, że to szła kobieta. Nagle kształt ludzki oderwał się od węgła domu Marciniakowej i przemknął przez most.

„Halt!" — rozległo się tysiącznym echem w ciszy nocnej. Koło domu Marciniakowej zakotłowało, drzwi trzasnęły i nastała cisza. Wysmukła postać stała znieruchomiała, jak posąg na moście.

Wolnym, ociężałym krokiem, jak myśliwy, który celnie strzelił i pewny jest swej zdobyczy, Caban podszedł i zaświecił latarką prosto w twarz.

„Verfluchte Nacht" — stęknął, przecierając oczy. Bo oto spojrzały ku niemu dwie wielkie błękitne źrenice, pod łukiem czarnych nieugiętych brwi. Żaden mięsień nie drgnął na gładkiej, białej twarzy. Tylko ręka wykonała w mufce niewidzialny ruch.

„Ausweis!" — zacharkotał Caban, który stracił swój tupet. — „Ausweis".

„Oto mój ausweis" — błyskawiczny ruch rąk, lufa małej piątki tuż przy skroni. Cichy, suchy trzask. Wielkie cielsko zwaliło się w błoto. Wątłe ramiona zawlokły go na bariere mostu. Woda przy młynie szumiała. Jeszcze wysiłek, jeszcze jedno pchnięcie. Joanna uczuła, że ktoś odjął ciężaru jej ramionom.

Nie słyszała, jak olbrzyma zwalono do rzeki, jak nurt wody nicestwił jego niesławny żywot. Nie czuła, jak ktoś uniósł ją jak piórko w ramionach.

— — — — — — — — — — — — — —

Piotr wszedł do izby z młodą kobietą bezwładnie przewieszoną przez barki. Był śmiertelnie blady, na kapocie miał ślady krwi.

„Czarna pani" — szepnęła Maryna.

A było to w niedzielę, w połowie stycznia 1945 r.

Nazajutrz celnicy w popłochu pakowali rzeczy i uciekali, gdzie kto mógł. Żaden z nich nie zastanawiał się nad tajemniczym zniknięciem Cabana.

Piotr Klichta został sołtysem. Koszary celników przekształcono na szkołę powszechną. Joanna, wierna mogile Marka, została nauczycielką. Często w pogwarach z Piotrem wspominali te czasy, kiedy Piotr brał co mu pod rękę popadło na „przemyt", aby stworzyć sobie „alibi" wobec rodziny i sąsiadów, i szedł w umówione miejsce na spotkanie z Joanną, aby odebrać od niej część niebezpiecznego ładunku, aby wreszcie rozprowadzić ten ładunek po Kielcach, Radomiu czy Skarżysku.

Tak wyglądał „Szmugiel" Piotra Klichty, o czym nie wiedział nikt poza Joanną. Tylko dziwiła się wieś cała, że Piotr, co przecie głowę na karku miał, tak marnie na tym szmuglu wychodził. Jakoś tam ludziskom z tym Piotrem nie pasowało.

Często ponura stacja w Koluszkach była miejscem obław i łapanek, bo nawet tępi wyznawcy służby w N. S. D. A. P. orientowali się, że nietylko szmugiel spirytusu i tłuszczów szedł do Łodzi via Koluszki, ale również coś znacznie ważniejszego. Do końca nie skojarzyli sobie tego z wsiadłą w ziemię lichą chałupiną Klichtów, jedna z ostatnich z polskiej strony, zaledwie kilkadziesiąt metrów oddaloną od domu Marciniakowej, miesz kanki „Reichu".



Niekształtne postacie przemykały się przez granicę.

MAREK SADZEWICZ

„Czy nikt nie powstrzyma tych przeklętych uczonych?"

„Strach i uczucie niepokoju towarzyszy temu pokoleniu na podobieństwo grożących upiorów"

„Czy jest jeszcze czas?..."

Kiedy znalazłem się w słonecznej ciszy biblioteki uniwersytetu wrocławskiego poczułem się znowu jak młody student stojący u progu „przygody czystego poznania, wywołanej nieprzezwyciężoną namiętnością badacza". Ogarnęła mnie atmosfera „nie dającego się zniechęcić poszukiwacza prawdy, który jest najszlachetniejszym wyrazem ludzkiego ducha".

Światowej sławy mikrobiolog prof Ludwik Hirszfeld wskazuje na portrety uczonych, rozmieszczone na ścianach pracowni. Jest tam Francuz, Rosjanin, Anglik, Szwed, Polak, Niemiec i Japończyk. Na szczytach wiedzy gdzie obcują najszlachetniejsze duchy nie ma narodowości i ras, nie ma nienawiści, jest tylko „niedające się zniechęcić poszukiwanie prawdy".

Czyżby najpiękniejsze ze wszystkiego co ludzkie miało stać się dzisiaj przyczyną ruiny i śmierci ludzkości?

Boć przecież wykrycie energii atomowej jest dziełem uczonych, którzy, niechcący coprawda, przyczynili się do ujawnienia praw, umożliwiających stworzenie straszliwej broni — bomby atomowej. Całe zespoły uczonych pracują nad jej ulepszeniem. Ludzkość oczekuje w osłupieniu, jakie jeszcze przerażające tajemnice kryją laboratoria uczonych? I prag nie zapytać, na wzór pewnego dziennikarza amerykańskiego, który rzucił pod adresem profesora, grającego kierowniczą rolę w rozwoju bomby atomowej. „Czy nikt nie powstrzyma tych przeklętych uczonych?" Na co otrzymał odpowiedź: „Uczony nie może cofnąć postępu z powodu obawy co świat zrobi z jego odkryciem". Wewnętrznemu rozdarciu współczesnych uczonych dał wyraz przewodniczący fundacji Rockefellera R. B. Fosdick: „Jak przewidzieć, co powstaje z naszego poznania?" Nie ma możliwości, ażeby oddzielić w badaniach naukowych dobre i złe. Naszym wrogiem nie jest technika, ale irracjonalność człowieka. Nie nauka, lecz wojna". I wreszcie zapytuje: „Czy mamy jeszcze czas? Strach i uczucie niepokoju towarzyszy temu pokoleniu na podobieństwo grożących upiorów... Czy mamy jeszcze czas?"

Zagadnienie, że jedynym celem wiedzy jest postęp bez względu na jego społeczne konsekwencje nurtuje świat intelektualny obu półkól. Spór budzi szerokie echa.

— Sądzę — mówi prof. Hirszfeld — że jest to tylko ułamek człowieka. — Obrazuje to jaskrawym przykładem z własnego życia, nie cytowanym dotychczas w żadnej publikacji.

— Podczas mojego pobytu w ghetto zgłosił się do mnie pewien lekarz, Żyd i przedstawił „cudowny pas", który położony na ciało powodował całkowite zniszczenie wszy. Zbadałem rzecz i przekonałem się, że pas. dzięki pewnym związkom rtęciowym istotnie posiada przypisywane mu wartości. Byłby to środek kapitalny zwłaszcza w okresie wojny i dziesiątkującego ludność i wojsko tyfusu plamistego. Lekarz prosił mnie o naukowe opracowanie cudownego środka. Co miałem począć? Nie miałem pewności, czy ów lekarz za cenę swego życia nie sprzeda wynalazku Niemcom. Jako uczony — nie miałem prawa zataić prawdy. Jako Polak — nie miałem prawa stwarzania możliwości, że wróg z wynalazku skorzysta. Postąpiłem jako Polak.

Analogiczny problem staje dziś przed uczonymi świata. Obserwowałem go w Ameryce podczas mej ostatniej podróży naukowej. Nauka prawdziwa nie zna tajemnic. Odkrycia uczonego mają służyć całej ludzkości. Wyniki pracy nad źródłem energii atomowej pozostają jednak w obecnym ukształtowaniu się politycznym i nieuregulowaniu jeszcze międzynarodowej kontroli — tajemnicą. Następuje konflikt między sumieniem uczonego i obowiązkiem obywatela. Ogłoszenie tajemnic bomby atomowej będzie zdradą narodową. Zachowanie jej na potrzeby wojenne — zaprzeczeniem roli nauki wobec ludzkości.

Nauka pędzi naprzód z zawrotną szybkością. Uczeni amerykańscy pracują przy pomocy środków, o jakich nam się nie śniło. Pracują w zespołach zbrojnych w potęgę mózgów i środków technicznych. Skala tych prac naukowych może być porównana jedynie z tym, co miałem możność zaobserwować w Związku Radzieckim. Czy rezultatem wysiłku pracy wspaniałych umysłów i kolosalnych środków materialnych będzie nowa era rozkwitu cywilizacji, czy jej ostateczne zniszczenie. Czy uczeni staną się budowniczymi świata, czy jego burzycielami?

Znakomity polski uczony usiłuje znaleźć odpowiedź na to pytanie. Widzi ją w stworzeniu ścisłej więzi między naukami przyrodniczymi i humanistycznymi w powiązaniu już w metodyce pracy uczonych, praw rozumu i moralności...

Bo — „Nauka bez sumienia jest próżna".



Prezydent Francji Auriol rozmawia z p. Joliot Curie (w środku), córką Marii Curie-Skłodowskiej i z p. Lise Meitner, która współpracowała przy wynalazku bomby atomowej.

ZWYCIĘŻYMY GRUŹLICĘ!

Z uwagi na zbliżającą się dekadę akcji przeciwgruźliczej (14—24.12. 1947 r.), której patronuje Prezydent Rzeczypospolitej Ob. Bolesław Bierut — Ministerstwo Zdrowia ogłasza konkurs na najbardziej wymowne, rzeczowe i przekonywujące hasło (slogan) dla dekady.

Slogan, winien składać się możliwie z jednego tylko zdania, a treścią jego musi być walka z gruźlicą w aspekcie społecznym.

Ministerstwo Zdrowia ustanawia następujące nagrody:

I — w wysokości 10.000 zł.
II (dwie) — w wysokości 3.000 zł.
III (cztery) — w wysokości 1.000 zł.
IV (10 nagród pocieszenia) w wysokości 500 zł.

Projekty haseł należy nadsyłać pod adresem Samodzielnego Referatu Prasowo - Propagandowego Ministerstwa Zdrowia (Warszawa, ul. Chocimska 24) z napisem na kopercie „odpowiedź na konkurs". Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 8 grudnia b. r.

SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW „PRZYSZŁOŚĆ" W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Spółdzielnia Spożywców „Przyszłość" w Białej Podlaskiej. Plac Wolności 5. zorganizowana została w maju 1931 roku. W 1944 roku Spółdzielnia została zupełnie zniszczona, a magazyny jej doszczętnie ograbiono z towarów.

Po usunięciu więc okupanta należało pracę rozpoczynać od początku.

Obecnie Spółdzielnia zrzesza 1.043 członków i zatrudnia 57 pracowników Posiada 8 sklepów, a w tym: 4 kolonialno - spożywcze, 2 z pieczywem, 1 z artykułami żelaznymi i 1 z wyrobami Państwowego Monopolu Spirytusowego.

Ponadto Spółdzielnia prowadzi: 2 piekarnie, wytwórnię wód gazowych, rozlewnię piwa i kaszarnię.

W najbliższym czasie Spółdzielnia uruchomi dwa dalsze sklepy. W jednym z nich od 1 stycznia 1948 roku prowadzić będzie handel przyborami szewskimi i tapicerskimi, a drugi przeznaczony zostanie na wyłączny rozdział artykułów kartkowych, co odciąży inne sklepy, umożliwiając im niczym nie hamowany handel artykułami wolnorynkowymi.

Obroty Spółdzielni w 1946 roku, wynosiły ca 62 miliony złotych, a w ciągu 10 pierwszych miesięcy 1947 roku osiągnięto 99 milionów złotych.

Spółdzielnia ma duże możliwości rozwojowe, lecz rozwój jej hamuje brak kredytów. Aby zaspokoić potrzeby ludności miasta Spółdzielnia powinna jeszcze uruchomić pięć nowych sklepów w różnych dzielnicach.

Zarząd Spółdzielni składa się z trzech osób: ob. Stanisław Skolimowski — prezes. ob Juliusz Krzyżanowski i ob. Stanisław Malarski — członkowie.

(a)

NOWA STRUKTURA SPÓŁDZIELCZOŚCI

(Dokończenie ze str. 3)

Nowa struktura przewiduje tu utworzenie **powiatowych związków spółdzielni gminnych** „Samopomoc Chłopska". Związki te przejmą dzisiejsze spółdzielnie rolniczo - handlowe, tak w siedzibach powiatów, jak i w innych miejscowościach. W ten sposób powstanie silne przedsiębiorstwo handlu rolniczego i przetwórstwa, obejmujące cały powiat. Byłoby jednak wypaczeniem myśli twórców tej koncepcji, jeśliby powiatowe związki ograniczyły się do handlu i przetwórstwa. Ich zadaniem równie ważnym jest opracowanie planu gospodarczego wsi w skali całego powiatu. Instrumentem tak w zakresie planu, jak handlu i przetwórstwa, będą gminne spółdzielnie. Powstaje jednolity organizm gospodarczy, który ma znacznie większe szanse realizacji planu gospodarczego na wsi, niż dzisiejsze formy organizacyjne. Oparcie tej budowy na szerokim samorządzie samych zainteresowanych chłopów daje jeszcze większą gwarancję właściwego rozwiązania.

Trzecim założeniem, które stoi u podstaw nowej struktury, to **postulat jedności ruchu spółdzielczego jako ruchu społecznego**. Spółdzielczość z pewnością nie stanowi odrębnej doktryny społecznej, którąby stwarzała wizję nowego ustroju, ale z pewnością nie jest również tylko aparatem gospodarczym. Jest źródłem pobudek społecznych i odgrywa wielką rolę gospodarczą w procesie uspołecznienia człowieka gospodarującego. O istnieniu tego źródła decyduje świadomość udziału w wielkim ruchu społecznym, który w trafnych formach gospodarki społecznej może uczynić człowieka lepszym stępić jego egoizm i wyzwolić potrzebę służby społecznej. Spółdzielczość zorganizowana jedynie w odrębnych centralach. a nie powiązana jednym wspólnym łańcuchem, nie posiadałaby warunków decydujących o kultywowaniu tego źródła. Stąd koncepcja Centralnego Związku Spółdzielczego obejmującego wszystkie spółdzielnie i wszystkie centrale, opartego na najszerszym samorządzie członkowskim, zapewnia spółdzielczości w nowej strukturze warunki, w których treść społeczna ruchu spółdzielczego może rozwijać się i pogłębiać. Ów Centralny Związek Spółdzielczy tak zbudowany jest najżywszym zaprzeczeniem złośliwej plotki o t.zw. upaństwowieniu spółdzielczości. Organy naczelne C.Z.S. wybrane na podstawie wyborów są reprezentantami szerokiej opinii mas członkowskich.

Takie są główne założenia nowej struktury spółdzielczości w Polsce. Wszelkie zmiany mają się odbyć przy pełnym zachowaniu dorobku materialnego i kadr pracowniczych dotychczasowych form spółdzielczych. Rzecz jasna, że ludzie przywiązani do dawnych form będą okazywać tu i tam niezadowolenie. Najlepszym rozbrojeniem takiej postawy będzie rzeczowa i rozumna analiza dokonanych zmian. Rozum bowiem daje im najpełniejszą akceptację.

Leon Marszalek

Włodzimierz Dzwonkowski Ilustr. Kazimierz Mann

MIŁOŚĆ GABRIELI

Pani Maria Stecka w swym życiorysie Edwarda Dembowskiego (Przegląd Historyczny, 1911, św. 50—51), podnosi jako szczegół nieznany, a pochodzący od rodziny Edwarda, jakoby serce młodej poetki (Narcyzy Żmichowskiej) zabiło żywiej niż dla innych dla młodego szaleńca i marzyciela, który... zapalczywością swego temperamentu przerażał ją niekiedy. „Afekt ten potwierdziła z własnych wspomnień rodzinnych Stefania Sempołowska, która na dowód przytaczała, że wdowa po Dembowskim zniszczyła przed zgonem listy Żmichowskiej od Edwarda, które przez lata przechowywała. Dowód oczywiście mało przekonywujący, bo do palenia takich listów skłaniają różne przyczyny i usposobienia.

Odmienne stanowisko zajmuje badacz życia i prac Gabryelli, prof. Aureli Drogoszewski, który stwierdza, że serce jej nie było obojętne — jak można przypuszczać — dla jednego ze spiskowców, Władysława Dzwonkowskiego (wiek XIX, sto lat myśli polskiej IX, 67).

Ponieważ chodzi o ten sam okres czasu, lata 1842—4, sprawdzimy, jak ta kontrowersja przedstawia się w wypowiedziach samej Gabryelli, zarówno w listach jej do przyjaciół, jak i w zeznaniach na śledztwie w latach 1849—50. Będę się przy tym posługiwał wyłącznie tekstem autorki, starając się nie przepuścić żadnego świadectwa.

W liście do brata Erazma, datowanym jedynie rokiem 1843, ale jak widać z następnego listu (Listy Narcyzy Żmichowskiej do rodziny i przyjaciół, 1885 — 1906, trzy tomy, I, 69) sporządzone w końcu września 1843 r., Gabryella pisze: „...Tam, gdziebym się mogła najzupełniej, najszczerzej przywiązać, gdyby nie owa ciągła nieufność i o samej sobie zwątpienie — to jest dom Dzwonkowskich. Poetycznie pięknie ugrupowana rodzina — ojciec i matka, poczciwi ludzie, dla dzieci tylko żyją — córki cztery przystojne, rozumne, dobre — **czynną** dobrocią. Stefania moja ulubienica [1]) i Anna, wyższych zupełnie wyobrażeń kobiety — syn jeden w Chrystianii [2]) ze słyszenia wiem, że prawo i szlachetnie myślący człowiek, drugi Władysław, pełen jak najlepiej użytych zdolności, z męskim umysłem, z niepokalanem czuciem, nie bez wspomnienia po polskiej ziemi przejdzie. Kiedy jestem z tymi ludźmi, to jakgdybym po wyjściu z więzienia, świeżem odetchnęła powietrzem — tak mi rzeźwo i błogo...“ (I, 61).

W Warszawie -przyjaźni się Żmichowska z domem Kolnarskich: „syn był w tych latach na Syberii i wrócił, siostra jego Melunia. Gabryella (widocznie Kolnarska .— matka, i od niej zapewne Żmichowska zapożyczyła swój pseudonim) także Narcyssia (t. j. Żmichowskiej) dostarczała znajomości, ale wśród nich **młodzi Dembowscy** tylko są od Narcyssy (mówi o sobie) szczerem sercem przyjęci w imię pani Cecylii [3]) — zaiste — z niemi szczególniej łączy mnie i podobieństwo opinii i jedność dążeń, chęci celów, — ale barwa, forma, wiek szczególniej rozłącza. Oni tacy młodzi! Oni tak żywo czują oboje, tak się bawią tem czuciem. tem szczęściem życia i działania — czasem, patrząc sobie na nich, pomyślę dumna na własnej skamieniałości: „dzieci“ — ale później aż mnie zazdrość bierze do nich, a żal do siebie, bo muszę przyznać, że to jednak szlachetne, błogosławione w myśli Chrystusa „dzieci“ do poświęceń i czynów. dziś przynajmniej, w zupełności gotowe...“.

A dalej idzie mocna krytyka „panny Ł (uszczewskiej), tutejszej pani Geoffrin [4]) (chodzi o Deotymę): — „grzeczna, aż do ckliwości, ale próżna, — próżna — próżna, w jej salonie...

A w zeznaniach swoich przed komisją śledczą z listopada 1849 r. Żmichowska powiada: „u p. Niny Łuszczewskiej widziałam wszystkie mniejsze i większe znakomitości warszawskie, u niej także po raz pierwszy spotkałam się z panem Edwardem Dembowskim, który mi wkrótce potem oddał wizytę, przyniósł egzemplarz wydawanego przez siebie „Przeglądu (Naukowego)“ i o współpracownictwo prosił... Młodziutki, szczuplutki, ugrzeczniony aż do pokory, nieledwie przedstawił mi się jako studencik z zapaloną wyobraźnią, lecz dobrem i życzliwem sercem. — Przed naszem poznaniem wydrukował na mnie kilka wierszy dość surowej recenzji, potem żal mu się tego zrobiło zapewne i zaczął mnie obsypywać najniezasłużeńszemi pochwałkami..., w kilkakrotnym spotkaniu okazaną grzecznością starałam się grzeczność pana Dembowskiego odwzajemnić, ale znajomość nasza b. prędko przerwaną została“.



W kilku spotkaniach częściej z nim tańczyłam

Wezwano ją do umierającego na suchoty ukochanego brata Janka w Ossówce pod Mińskiem Mazowieckim. Zgon brata nastąpił 30.III.1843 roku. Zaznajomienie się więc z Dembowskim miało miejsce w początkach 1843 r. Po śmierci brata bawiła Żmichowska u siostry Kisielnickiej w Kościerzynie, a potem z Kisielnickimi wyjechała w Łomżyńskie na wakacje. Gdy wróciła we wrześniu, dowiedziała się w Warszawie o ucieczce Edwarda Dembowskiego (w czerwcu 1843) i o aresztowaniu pana Władysława Dzwonkowskiego (początek września 1843), który z siostrami i rodzicami w sąsiedztwie Kałuszyna mieszkał (w Nowym Dworze pod Siennicą). Siostra jego Stefania była także w Warszawie. Znajomość nasza niepamiętnych czasów „sięgała...“. O panu Władysławie Dzwonkowskim tyle tylko wiedziałam wówczas, że pilnie gospodaruje, dobrze się z ludźmi obchodzi, jest lubiany w okolicy i b. moralne prowadzi życie, prawda, że to wszystko wielce mnie na jego korzyść uprzedziło, w kilku spotkaniach częściej z nim tańczyłam, może trochę dłużej rozmawiałam, ale gdy zaczęło mówić i wnioskować, że mi się zanadto już podoba, zupełnie prawie usunęłam się od niego, aby ludziom grzechu nowej i niepotrzebnej plotki oszczędzić. Po kłamliwych wieściach, które się o mnie przed powrotem z Francji (rok 1842) rozsiały, miałam to właśnie za punkt honoru sobie, by wszelkiego podejrzenia romansu uniknąć. Co do zamążpójścia wiedziałam z wszelkich towarzyskich względów, że p. Władysław Dzwonkowski ani może, ani myśli żenić się ze mną. Oddawna też przygotowaną na to byłam, że kobieta nie bogata, nie piękna, a do tego autorka musi się rozstać z wszelką nadzieją małżeńskich według wyboru swego serca związków. W ogóle jednak mało mię to obchodziło: póki żył mój brat, on mi za wszystko i za wszystkich uczuciem swojem starczył, (a) po jego śmierci tak zobojętniałam“ na wszystko... [5]).

4.X.1843 r. z Warszawy pisała Żmichowska do brata Erazma: (Ktoś krzyknął jej): „Spisek jakiś odkryto — do Cytadeli już pełno pobrano młodzieży!“ — „W jednej chwili myśl moja przebiegła wszystkich, co znałam godnych, szlachetnych, najlepszych, i nie wiedząc czy narażeni lub nie, z przerażenia o wszystkich zadrżałam. Drugiej, tak okropnej chwili, nie daj mi doczekać, Boże!... jednego po drugim brano do więzienia i teraz nawet nie mam o kogo się troszczyć... Zięć pani Cecylii (Dembowski) szczęśliwie do Wrocławia się dostał (jeszcze w czerwcu) i żona za nim pojechała, ale ten drugi młody człowiek, o którym ci pisałam, już po moim wyjeździe z Warszawy, uwięziony (Dzwonkowski) — biedne siostry! one go tak kochają. Innych tylu, których imiona powtórzę ci kiedyś, zasmucili rodziny — z pięknych zdolności i prawych chęci osierocili biedną ziemię naszą...“ [6]).

Przyszedł do Żmichowskiej Z „powiedział, że ona skompromitowana, musi wyjechać, — nie do Kałuszyna, bo tam w sąsiedztwie zabrano Dzwonkowskiego (z Nowego Dworu). nie w Łomżyńskie, bo tam zanadto ją znają, tylko najlepiej za granicę Tymczasem wypuszczono grupę uwięzionych, między nimi Dzwonkowskiego. Pozostało 8, których oddano pod sąd. Dzwonkowski wrócił do majątku. W grudniu 1843 roku stycznia 1844 r. nastąpiła nowa, większa daleko fala aresztowań. Dzwonkowski, otoczony już przez żandarmów w Nowym Dworze (pod Siennicą, pow. mińsko - mazowiecki), uciekł konno, wydostawszy się ze stajni przygotowanym oddawna otworem. Uciekł i znalazł się w Poznańskiem. Reprezentował odtąd Królestwo w rządzie narodowym w Poznaniu i Krakowie, odwiedzając je zresztą często jako emisariusz pod przybranym nazwiskiem. Ucieczkę jego opisał Kraushar w paru felietonach „Kuriera Warszawskiego“ w latach 1930 — 1935 r.

Tymczasem Żmichowskiej oświadczył się Jan Baranowski, dyrektor obserwatorium warszawskiego. Odmówiła niespodziewanej prośbie: „chciał żony przyjaciółki... ale małżeństwo bez miłości w przekonaniu moim nie leży... (więc) co prędzej z kraju uciekłam“. Pojechała na nauczycielkę do Turndu, do Objezierza w Poznańskiem.

Wyjazd nastąpił z Kałuszyna 8.IV. 1844 (Pisma III, 6) przez Nowy Dwór do Kurowa, gdzie nastąpiło spotkanie z Rzewuską (20.IV, Pisma III, 8) i obiedwie przez Kraków i Wrocław pojechały do Drezna, stąd koleją do Berlina, a z Berlina do Poznania, gdzie Gabryella znalazła się w końcu maja lub początku czerwca 1844 roku (pierwszy list z Poznania 10.VI. 1844, Pisma III, 10). Wieczorem 10.VI.1844 była na koncercie Kosowskiego u Edwardostwa Dembowskich (III, 11). Sama znalazła przystań na ul. Berlińskiej 32, u Bibiany Moraczewskiej, która mieszkała z bratem Jędrzejem, historykiem i redaktorem „Roku“. O trzy domy stąd są Dembowscy i co dzień w kilka osób się schodzimy, a wszystko zajmujące imiona, dawnej czci mojej przedmioty“. W pierwszej połowie lipca była już w Objezierzu u Turnów (III, 13). Stamtąd wypadła raz czy dwa do Poznania na parę dni (III, 21). W listach z tego czasu nic nie pisze dalej ani o Dembowskich, ani o Dzwonkowskim, 25 stycznia 1845 roku pisze, że cały ten czas spędziła na pedagogicznej i naukowej pracy „wyjąwszy kilka tygodni na odpoczynek i leki“. Pod koniec lutego policja kazała jej opuścić Poznańskie (III, 25), 27.II, przejechała granicę.

Przez te kilka tygodni zbliżyła się do Dembowskich. Pisywała do niego z Objezierza. Ale to było bardzo krótko. W grudniu 1844 r., Dembowski wybrał się do Paryża i Londynu. Narcyza chciała przez niego przesłać bratu Erazmowi w Rheims obrączki ich rodziców, ale Dembowski nie zabrał ze sobą obrączki. Okazało się, że nie wyjechał do Paryża i Londynu, tylko wtrącono go do więzienia. Więcej się w życiu nie widzieli [7]).

Edward Dembowski urodził się w kwietniu 1822 r. w Warszawie, jako syn kasztelana Leona. Matka umarła na suchoty w Remetz. (Dusznikach), gdy miał rok. Wychowywał się w Klementowicach pod Nałęczowem. W 1836 r. przenieśli się Dembowscy do Warszawy, dla nauki syna. Mając lat 18, czyli w r. 1840 Edward kończy studia. W tym czasie zakochuje się w 16-letniej Anieli Chłędowskiej, córce referendarza stanu. Kasztelan, chcąc przerwać tę miłość z uboższą panną, zabiera syna na rok w podróż zagraniczną. Po powrocie ojciec wyposaża syna. dając mu dobra, dom w Warszawie i gotówkę, ogółem wartości pół miliona złotych. Panna była b. radykalna i w tym kierunku pchała narzeczonego. U jej rodziców mieszkał Nabielak. Zbierało się towarzystwo patriotyczne i Belwederczycy. W 1842 r. powstaje za pieniądze Dembowskiego „Przegląd Naukowy“.

1) *Jej portret na wstępie do „Poganki” pod imieniem ANNY.*

2) *Adam, 1815 — 1885, znany wydawca norweski, potem polski. patrz art. p. Chmielowskiego w „Wielkiej Encyklopedii”.*

3) *Z Narbuttów referendarzowej Chłędowskiej, matki Anieli z Chłędowskich Edwardowej Dembowskiej.*

4) *Maria Teresa Geoffin (1699 — 1777), głośna ze swego rozumu; utrzymywała słynny salon w Paryżu, gdzie zbierali się filozofowie - encyklopedyści., Przyjaciółka Stanisława Augusta. U niej przeszedł pierwszą szkołę savoir - vivre'u.*

5) *Listy.*

6) *Listy, 71 — 72.*

7) *Listy III, 184, 186: „Anielę (Dembowską) pozdrów ode mnie i spytaj się czy jest już pewny adres, żeby można do Edwarda pisać — zdaje mi się wielkim z jego strony szaleństwem, aby z tak wątłym zdrowiem i z tak słabymi wierszami do Londynu jechać”.*

Edward ożenił się prawdopodobnie pod koniec 1841 r. Pod koniec 1842 r. przychodzi im na świat córka, w czerwcu 1843 uciekają za granicę do Poznania, w marcu 1844 r. przybywa im w Poznaniu syn Czesław. Niedługo cieszył się Dembowski wolnością — od czerwca do grudnia. 20.XII.1843 r. poznańska policja przydzieliła go do wojskowych oddziałów robotniczych. a zaraz potem prezydent policji Minutoli wtrącił go do poznańskiego więzienia. W styczniu 1844 r. był na przesłuchaniu i tłumaczył się. że zbiegł z Królestwa z powodu przekroczeń prasowych. Zapadła decyzja wysiedlenia go, a tu żona. po urodzeniu syna, wpadła w przejściową chorobę umysłową, co u kobiet słabych nerwowo zdarza się w związku z porodami. Wobec tego władze policyjne pozwoliły skazanemu na banicję Dembowskiemu wywieźć chorą żonę do zakładu psychiatrycznego w Otwińsku, gdzie spędził kilka miesięcy w zupełnym odosobnieniu pod ścisłym nadzorem policyjnym. Tu też powstały najdojrzalsze prace jego, wyżej stojące od warszawskich. W październiku jednak powtórzono nakaz banicji i 30.II.1844 r. Dembowski opuścił Poznań udając się do Belgii, Francji, a potem do Galicji. Jak widzimy nie było tu czasu i miejsca na romans nawet najbardziej platoniczny i jednostronny.

Co ciekawsze w Poznańskiem kiełkuje u Gabryelli jakby mowa l'amitié amoureuse do emigranta z Królestwa, studiującego filozofię na uniwersytetach niemieckich, ale zarazem czynnego polityka, członka Komitetu Centralnego międzydzielnicowego, czyli Rządu Narodowego, Michała Słomczewskiego. Słomczewski kocha się bez wzajemności naprzód w Paulinie Zbyszewskiej (1844) potem w Bibiannie Moraczewskiej (1847), obydwóch przyjaciółkach Gabryelli, a ta na to reaguje w pierwszym wypadku w ten sposób: „Słomczewskiemu powiedz — pisze do Bibianny 24.4.1845 r. z Siedlec, — że bardzo źle zrobił drąc swój list do Pauliny — wszystko co od niego pochodzi, jest b. mile, ale to b. mile przyjęte; może ja też przez przeczucie tak go szczerą braterską ukochałam przyjaźnią, może on mi najbliższym będzie ze wszystkich podobnych między mną a jakim mężczyzną związków... Ty powiedz, co myślisz o myśli mojej (III, 205). A w 1847 roku pisze o nim: „ja go szczerze kocham, ale jakąś Bożą miłością — mnie słów jego nie potrzeba, ani pamiątek, ani widoku — on ze mną jest. A nie uśmiechajcie się, jako na jakiś zwrot romansowy na te proste słowa — nie jest to namiętność kochanki, owe uczucie bez zamiarów, bez przyszłości — a, żę i on mię tak kocha, temu wierzę, o tym wiem" (III, 249). Ta atmosfera romantyczna sentymentalna, egzaltowana, przypomina nastroje towianizmu, którego bakteriami przesycone było powietrze.

Żmichowska ogółem 9 miesięcy zabawiła w charakterze nauczycielki u Turnów w Objezierzu, „był jednak okres kilkutygodniowy, gdy czas jakiś w Poznaniu na kuracji bawiłam; często mi się zdarzało (wtedy) sprzeczać i z Edwardem Dembowskim, którego u Moraczewskiej powtórnie spotkałam i z Barwińskim i ze Słomczewskim szczególniej, któremu filozofia niemiecka głowę zawróciła..., cudowną historię rozpowiadano o pannie Żmichowskiej, która włosy obcięła, w worek się ubrała, przypięła ostrogi do trzewików, miewała w klubach najburzliwsze mowy i wydała zgubną przeciw małżeństwu i rodzinie książkę. Przydomki demokratki i komunistki krzyżowały się naturalnie wśród tego wszystkiego, byli tacy nawet co mnie i towianistką nazywali...'" (sto lat myśli polskiej, IX. 67).

Po powrocie do Królestwa (27.II. i 845) Gabryella kilka miesięcy spędziła w Kurowie u Pauliny Zbyszewskiej, którą poznała w r. 1843 i od razu pogrążyła się w najgorętszej jej adoracji. Obecnie nastąpił dramat rozłamu ze swojem uwielbianem bóstwem żeńskim, przez które chciała być „najlepiej, najwyłączniej kochaną". Na początku roku 1846, gdy zginął Dembowski, Gabryella rozpaczała nad zerwaniem z Pauliną: „Czy ja ją kochałam? pamiętasz zapewne; ale tak się kochać nie godziło — więc po złem kara — co ona biedna winna temu, że... stałam się wzajemnie wymagająca... P(aulina) jest genialną kobietą... Z geniuszem pierwszy raz w życiu do czynienia miałam, zmierzyłam go moją poziomą miarą, uwielbiałam, ukochałam, ale nakoniec chciałam być także najlepiej, najwyłącznie) kochaną — kiedy mi P(aulina) ze swoją biegłą dialektyką zaczęła dowodzić, że to jest wielkie głupstwo, mnie się w mózgu przewróciło i doprawdy poczułam, że w sercu także coś przewracać i psuć się zaczyna... myślałam, że oszaleję. Szczęściem skończyło się tylko na zerwaniu przyjacielskich stosunków (III, 217... Przyznaję P(aulinie) zadziwiające zdolności, dążność jak najlepszą, chęć dobrego najsprawiedliwszą, wiele szlachetności nawet. Ona zgrzeszyła przeciw ideałowi mojemu i przeciw mnie — na takie grzechy, gdzież szukać odpuszczenia".

Dramat ten starał się odtworzyć prof. Mann w swej analizie „Poganki" (1916) Żmichowska była naturą egzaltowaną. Sama dawała dużo bliźniemu i wzamian potrzebowała ciepła miłości. Uczucie było dla niej najwyższą jedyną potęgą.

O przyjaźni z Dembowskim w tym czasie głucho, znajdujemy tylko trochę chłodną wzmiankę w liście do Bibianny z Warszawy 28.I.1846: „Pisać do W(ładysława) nie będę pierwej, póki w moim położeniu coś stanowczego nie zajdzie — jest tu siostra jego — Anna w Warszawie. posądzam, że mi trochę zazdrościła mojego listu, a jednak z prawa sumienia należał mi się" (III, 212).

W lutym 1846 Dembowski poległ i Żmichowska jeździła ze Stefanią Dzwonkowską odszukiwać jego ciało, jak Judyta ciało Herolda na polu bitwy pod Hastings. Tylko z gorszym wynikiem.

Weszła teraz bliżej do organizacji spiskowej i całą siebie jej oddała. Jako kurierka - łączniczka między trzema zaborami widywała się teraz często z Dzwonkowskim. W r. 1848 bawi w Krakowie i Poznaniu, gdzie konferuje na temat zjazdu międzydzielnicowego z udziałem emigracji i z Libeltem na temat wkroczenia Mirosławskiego na teren Królestwa *).

*) Dr Marian Tyrowicz, Polski Kongres Polityczny w Wrocławiu 1848 r., str. 18, 47, 50 i 54.

W r. 1852, gdy była w Krakowie, „czas mój dzielił się między Erazma (brata) i Władysława (Dzwonkowskiego), z jednym lub drugim tylko widzieć mię było można" (I, 227).

W tym roku 1852 ostatni mohikanie ze „Związku" poszli na Sybir, z Henrykiem Krajewskim na czele, co ocalało wyniosło się do Paryża. Tam przeniósł się i Dembowski.

W roku 1856 następuje przełom w życiu osobistym Władysława. Zakochuje się w nim Antonina Deskurówna, córka Józefa właściciela Sancygniona w Sandomierskiem, gdzie Dzwonkowski jako emisariusz miał jeden z punktów oparcia, i przybywa doń końmi do Drezna, gdzie odbywa się w paź. — listopadzie ich ślub, poczem osiadają oboje w Jainville pod Paryżem, zakupują rasowe krowy i zakładają fermę mleczną.

Od małżeństwa Władysława z Deskurówną nazwisko Dzwonkowskiego znika z korespondencji Gabryelli z przyjaciółkami i z bratem Erazmem. W r. 1867 odwiedza ona nawet brata w Rheims na Framer, ale do Jainville nie zagląda: „Z dawnych polskich znajomych nikogo nie widziałam. Nie było takich, do którychby się serce rwało, a było, od których chciałoby się jak najdalej uciekać" (III, 159).

Na miejsce tej przyjaźni pod koniec szóstego dwudziestolecia zjawia się nowa, stosunkowo krótkotrwała, ale niemniej gorąca przyjaźń polityczna Gabryelli z Edwardem Jurgensem. Gdy umarł, zamęczony w Cytadeli 1.I.1863 r., pisała do brata Erazma: „Straciłam człowieka, którego bardzo kochałam... Czego mi w różnych ludziach i zdarzeniach brakowało, w nim odnajdywałam... — i rozum wszechstronny, jasny, logiczny..., umiejący najtrafniej rzeczywistość ocenić a drogę przyszłości wskazać — i siłę przekonania w sobie niezłomną a dla drugich nieodpartą — i czystość życia w każdym stosunku tak granitową... i wreszcie ową osobistą cnotę człowieka, która całą skalę drobnych codziennych obejmuje szczegółów, zacząwszy od sumiennej obowiązkowości, skończywszy na tej dobroci serca niewyczerpanej, którą tylko przyjaciele, potrzebujący lub zależni znali i zaświadczyć mogą — wszystko w nim odnajdywałam — wszystko Bóg sam nim wyraźnie do służby ojczystej przysposobił i podarował — ale Cytadela silniejsza. Cytadela mniej niż w pół roku na śmierć zniszczyła taką indywidualność, która w rzadkich tylko wybranych latach łaski Bożej się rodzi".

Po śmierci Jurgensa to żywe uczucie przyjaźni oddanej przeniosła Gabryella na adwokata Seweryna Markiewicza, „ukochanego niegdyś przez Jurgensa, potem przeze mnie — powiada Żmichowska, — jako dziedzictwo najpierwej, jako co raz zupełniejsza własność następnie... (tak, że) cały dalszy ciąg tego, co było dobrem w mojej przeszłości z jego przyszłością związał mi się pomału (II, 439 — 441).

Co wspólnego cechowało tych wszystkich ukochanych Gabryelli: „Mam szczególniejszy pociąg do gatunku ludzi szlachetnych i dobrych — pisze już po koniec życia, w r. 1867, — nie w znaczeniu doskonałości, ale w znaczeni prostej zwyczajnej dobroci..., tylko do szlachetności i dobroci mam pociąg prawdziwy... i wszyscy których kocham, są tacy sami" (I, 144—5). Ale co cechowało ich najdobitniej, a o czym Gabryella nie wspomina, to to, że byli jej towarzyszami broni, bojownikami u wspólnych ołtarzy umiłowanej nad życie Ojczyzny.

Te wszystkie miłości jej, były tylko miłującymi przyjaźniami, całkowicie pozbawione dwustronnego erotyzmu. I to, że te przyjaźnie nie mogły się przekształcić w normalną miłość było największą tragedią życia poetki. Mówi o tym wyraźnie sama Żmichowska i brakowi doznań miłosnych przypisuje zanik swego talentu: „ja ci powiem, że i taką lichą autorką bym nie była, gdyby mi, się czasem do wyłącznicjszego, szalonego uczucia serce nie zrywało, jak ptak do wschodzącego słońca. Ale moje serce na błyskawicach musiało poprzestać, bom się urodziła niełądną. niedość pociągającą zmysłowo... dość na tym, że nie byłam w całym ciągu życia mojego ani na 24 godzin, ani na jedną godzinę nawet wzajemną miłością kochana — dlatego dzisiaj nic już napisać nie mogę, bo mam na każdym kroku w pewnych danych — deficyt. Całe szeregi, całe kategorie są dla mnie niezrozumiałościami — mogę o nich tylko z wierzchu, nie ze środka mówić. Powiadam też, że mi odwaga omdlewa, gdy o pisaniu pomyślę".

Ta co od dziecka spalała się w ogniu przeczulonej miłości, ta co tak płomiennie umiała kochać, przede wszystkim braci swych i przyjaciółki, ta co zdawała się przeznaczona jest na kapłankę domowego ogniska, nie zaznała w życiu pieszczoty męskiej, i to — obok cierpień niewolonej Matki Ojczyzny — było jej największą tragedią osobistą.

Włodzimierz Dzwonkowski

*) Dr Marian Tyrowicz, Polski Kongres Polityczny w Wrocławiu 1848 r., str. 18, 47, 50 i 54, 67.

9) (Listy I, 128 — 9).



Tymczasem Żmichowskiej oświadczył się Jan Baranowski



W liście do brata Erazma Gabriela pisze...



W lutym Dembowski poległ i Żmichowska jeździła ze Stefanią odszukiwać jego ciało.



MALTA — WYSPA KRZYŻOWA

Kpt. Mar. Woj. Józef Bartosik

Ilustrował W. Siemiątkowski

Podczas wojny nikt jakoś nie brał Włochów na serio. Nieprzyjacielem, którego się doceniało, szermierzem godnym aliantów, byli Niemcy. Ale Włosi — nie!

Fama taka przylgnęła szczególnie do floty włoskiej. Miała ona przecież zdecydowaną przewagę liczebną: — więcej pancerników, szybsze krążowniki, wszystko nowe, jakby spod igły. I co najważniejsze, alianci musieli prowadzić wojnę na obcych wodach: — wewnątrz zamkniętego, włoskiego Mare Nosturm, dosłownie na progu Italii. A jednak, pomimo takich udogodnień, włoskiej armadzie zabrakło ducha walki. Duch ten należał do przeciwnika, wprawdzie słabszego liczebnie, ale od wieków znającego i rozumiejącego morze. Jego przestarzałe okręty ożywiała determinacja i wola zwycięstwa. Przed tą determinacją i wolą — cofnęli się włoscy admirałowie. Ich potężna flota nie zdobyła sie ani na jedną zwycięską potyczkę. Może nigdy przedtem we wza jemnych zmaganiach się dwóch potęg morskich, nie zaważyły tak nama calnie na losach czynniki niematerial ne, jak właśnie podczas tej ostatniej wojny na morzu Śródziemnym.

Raz tylko zdarzył się wypadek, który częściowo podważył nasz sąd. Było to pod koniec drugiego roku wojny. Któregoś dnia wyszliśmy wte dy z Clyde, jak zwykle z konwojem na zachód. Przebyliśmy już jakieś trzysta mil, kiedy przez radio otrzymaliśmy sygnał, nakazujący zwrot na południe — do Gibraltaru.

Ledwie do tego portu zdołaliśmy się wtłoczyć. Skąpą przestrzeń pomię dzy molami wypełniły dziesiątki okrę tów — cała flota wojenna. Wyznaczono nam miejsce przy burcie lotniskowca. Był to H. M. S. „Ark Royal". Maszt „Garlanda" ledwo sięgał jego głównego pokładu. Rozparci na relingu marynarze lotniskowca, przyglądali się nam godzinami, obserwując z góry całe nasze życie okrętowe. To denerwowało.

Przy tym jeszcze regularnie, co kilka minut, rozchodziły się po kadłubie naszego okrętu ostre uderzenia. Jakby potężny młot bił o burtę. Nigdzie nie można było się przed nimi schować. Słyszeliśmy je na dziobie i na rufie — wszędzie, z jednakową siłą. Były one o tyle nieprzyjemne, że przeszkadzały nie tylko w pracy, ale i w myśleniu. Dopiero później dowie dzieliśmy się, że przy wejściu do portu, w przerwie pomiędzy sieciami, rzucano wtedy regularnie ładunki wy buchowe. Jakby małe bomby. Miały one zabezpieczyć port przed „ludzkimi torpedami" i innymi tajemniczymi wynalazkami nieprzyjaciela. Przecież Włosi dwukrotnie już próbowali takich sztuczek w Gibraltarze!

Sam port Gibraltarski nie przedsta wiał ponętnego widoku. Wszystko tchnęło w nim wojną i szarzyzną. W dodatku mroczna, wysoka skała rzucała cień na okolicę. Dopiero opodal, po drugiej stronie zatoki lśniło w słońcu hiszpańskie miasteczko — Algeciras. Wśród zieleni palm i ogrodów bieliły się tam małe, kwadratowe domki i wille. Widzieliśmy je, jak na dłoni. Miłą tę panoramę macila jednak myśl, że i stamtąd też nam się przyglądają. Kto wie, ile lornet niemieckich i włoskich troszczyło się o nas w tej chwili. Przy takiej odległości nic przecież nie można było przed nimi ukryć.

Tymczasem przy burcie „Prince of Wales" roiło się od motorówek. Na okręcie, głęboko pod pancernym pokładem odbywała sie odprawa dowódców. Nachylony nad mapą admirał, przedstawiał ogólne położenie i tło operacji. Mówił, że Malta trzyma się ostatkiem sił, że wyspie tej brak wszystkiego: — żywności, broni, samolotów. Że amunicji wystarczy tam najwyżej jeszcze na tydzień. Że od dwóch miesięcy żaden konwój na Maltę nie dotarł.

— Rachunek sił jest jasny, — mówił bez ogródek. — Mamy przeciwko sobie całą flotę i całe lotnictwo włoskie. Do tego ... „Luftwaffe". Po drugiej stronie szali ... prosta prawda: — nasze dojście. To dla Malty kwestia życia i śmierci. Musimy więc dojść. Proszę nie zapominać, że Rommel stoi u wrót Egiptu!...

Na zakończenie, admirał uśmiechnął się i dodał jeszcze:

— Cokolwiek się stanie, nie traćcie panowie pogodnego nastroju.

Z takim to błogosławieństwem ruszyliśmy wówczas w drogę z Gibraltaru przed zachodem słońca. Na złość lornetom z Algeciras, poszliśmy w kierunku Atlantyku. Dopiero, gdy zmrok zapadł, zawróciliśmy na kurs przeciwny — ku Malcie. Tak się więc złożyło, że akurat przed odkotwiczeniem przysłano nam na okręt formularze odznaczeniowe. Oczywiście, był to zbieg okoliczności. Właśnie kończył się jeden z okresów orderowych. Lecz w tym nastroju trafiły one nie mal że jak omen.

Dzień wstał pogodny, bezchmurny. Ani jedna zmarszczka nie mąciła powierzchni morza. Po prawej burcie mieliśmy konwój. W środku zgrupowania szły cztery transportowce. Do koła nich, pierścień kontrtorpedowców. Z tyłu, za nimi, posuwała sie druga grupa — wyciągnięte w jedną linię pancerniki: „Prince of Wales", „Nelson", „Rodney" oraz eskadra krążowników. Jeszcze dalej, rysowały się wysokie sylwetki lotniskowców. Marynarze nazywali je po prostu — stodołami. Za flotą człapał ropowiec. Z wylotów luf na pancernikach pozdejmowano kaptury. W promieniach wschodzącego słońca połyskiwały czer wone i groźne. Aż żal w sercu wzbierał, że całą tę potężną flotę trzeba było uruchomić, aby przeprowadzić na Maltę cztery mizerne statki.


Z chmur lunął rzęsisty deszcz bomb.

Szybkość konwoju była duża. Jak na stosunki antlantyckie, nawet zawrotna. Srednio biorąc, kręciliśmy te raz dwa razy więcej obrotów, niż na Atlantyku w tzw. „szybkim konwoju". Do Malty mieliśmy jakieś tysiąc mil. Oznaczało to z grubsza trzy doby podróży. Naturalnie — bez nieprzewidzianych opóźnień.

Po drugiej stronie konwoju ... ły się grzbiety wzgórz hiszpańskiego Maroka, drgające fioletowym od cieniem. Szczególnie ostro odcinał się od horyzontu cypel Cap Tres Forcas. Gdy jego kontur zniknął za rufą, wstęga lądu zwężyła się, oddaliła i w końcu urwała sie zupełnie. Dokoła nas pozostało teraz tylko morze. Lśniące w słońcu, jakby ... roztaczało przed nami szafir wód o błysku, jakiego nie rozniecí chyba żaden cenny kamień. Jedno jedyne morze Śródziemne zna sekret tego koloru.

Regularnie, co kilka godzin, „Ark Royal" zwalniał bieg i skręcając pod wiatr, wypuszczał nowe samoloty. Kiedy cała zmiana znalazła się w po wietrzu, zabierał na swój pokład inne zmęczone. Od świtu do nocy jego samoloty roztaczały czujną straż nad flotą, wpatrując się pilnie w horyzont i w modrą głębinę przed nami.

Pod wieczór pierwszego dnia okręty uzupełniały zapas ropy. „Karmienie" to odbywało się w ruchu i wyglądało dość dowcipnie. Kontrtorpedowce kolejno podchodziły do ropowca i nie dotykając jego burty, cumowały się na odległość pięciu do dziesięciu metrów. Następnie przy pomocy dźwigu przerzucono z ropowca wąż, który ssał z jego wnętrza ropę. To ssanie okrętu - cysterny trwało około godziny i wymagało dużej wprawy. Przy tej szybkości trzeba było ciągle uważać, aby okręty nie uległy zderzeniu. Toteż sternicy zmieniali się co pół godziny, spoceni, jak myszy. Warto było jednak ponieść ten kłopot. Nazajutrz każda tona ropy mogła być cenniejszą od złota.

Noc minęła spokojnie, bez alarmów. Dopiero następnego ranka, oko ło godziny dziewiątej otrzymaliśmy pierwszy raport, że gdzieś, z daleka, podpatruje nas samolot nieprzyjaciel ski. Wkrótce dostrzegliśmy go gołym okiem. Wisiał tuż nad horyzontem, jak wielka ważka z wysoko zadartym odwłokiem. Przesuwał się tak powoli, że jego ruch ledwo można było dostrzec. Wyglądało to raczej na rolowanie po horyzoncie, zwłaszcza, że refrakcja rozszerzała znacznie czarną jego sylwetkę. Drogo go to kosztowało. Bo niebawem zrozumiały nasze myśliwce. Kierowane przez radio, pe źiły teraz w kierunku ważki, aż grały motory. Włoch zauważył prześladowców, jeszcze wyżej zadarł ogon i zniknął. Reszta epizodu rozgrywała się już za horyzontem. Do nas przyszedł tylko krótki sygnał: „Podpatrywacz zniszczony". Niemal że jednocześnie, radiostacja przysłała na pomost telegram z Gibraltaru — „Zostaliście zameldowani przez samolot".

Zaskoczenie nie udało się Włochom. Kości były jednak rzucone. Wiedzieliśmy, że w tej chwili wszystkie lotniska włoskie, od Sycylii do Sardynii, huczały od przygotowań. We wszystkich też portach włoskich dymiły teraz kominy. Królewska flota podnosiła parę.

— Grajkowie przeżywają prawdziwe terrible momente! — szepnął któryś z naszych sygnalistów.

Co do nas, nie byliśmy zanadto pewni, czy nie znajdowali się oni również i na pobliskich wyspach Balearskich. Chodziły bowiem słuchy, że Hiszpanie z wdzięczności za pomoc, okazaną im w wojnie domowej, odstąpili Włochom bazy lotnicze na Majorce.

Być może, że nasz dzisiejszy wywiadowca przyszedł właśnie stamtąd.

Przygotowania zajęły nieprzyjacielowi dość dużo czasu. Pierwszy atak nastąpił dopiero około drugiej godziny po południu. Niebo w znacznej części pokryło się wysokimi, białymi chmurami, tak charakterystycznymi dla tutejszych okolic. Nazywaliśmy je po swojemu: — „zsiadłym mlekiem". Eskadry włoskie leciały po nad nimi. Z dołu, od nas, nie było samolotów w ogóle widać. Słyszeliśmy tylko głuche dudnienie motorów. Musiała ich być jednak olbrzymia ilość, chyba całet setki. Wreszcie gdy dudnienie przesunęło się nad nasze głowy, z chmur lunął rzęsisty deszcz bomb. Po sypały się one wszystkie na raz, jak za pociśnięciem klucza. Widocznie Włosi rzucili je na sygał: „na radio".

W jednej chwili świat zniknął nam sprzed oczu. Kolumny białych obłoków wodnych wyrosły nagle po obu burtach „Garlanda", oddzielając nas od konwoju, pancerników, nawet od słońca. Huk wybuchów, szarpał nami przez dobrą minutę, jakby jakaś ogromna kanonada. Powoli kolumny zaczęły kurczyć się i opadać. Spoza nich, wyłoniły się najmierw maszty, potem wieże, wreszcie kadłuby okrętów. Nie brakowało nikogo! Za to krążowniki strzelały teraz w górę, widocznie „na ślepo" — po przez chmury. Nasze aparaty były zbyt prymitywne, nie mogliśmy więc sobie pozwolić na otwarcie ognia.

W ciągu po południa podobna operacja powtórzyła się kilkakrotnie, nie należała ona do przyjemnych, ostatecznie jednak nie straciliśmy nikogo. Włosi natomiast rzucili tysiące bomb, wszystkie w wodę. Wyglądało to na trochę kosztowny sposób prowadzenia wojny.

Następna rozgrywka czekała nas dopiero trzeciego dnia, nie dalej, jak sto pięćdziesiąt mil od najbliższych włoskich lotnisk. Akurat pchaliśmy sie w samo ich gardło. Chmury zaległy niebo, znacznie gęstsze i niższe, niż wczoraj. Poza tym, zrobiło się nieco chłodniej. Nad horyzontem unosiła się delikatna mgła.

Było już niemal południe, gdy z okrętu admiralskiego otrzymaliśmy ostrzeżenie, że z północy, na średnim i niskim pułapie, zbliżają się ku nam wielkie formacje samolotów. Wiedzieliśmy, że rozpoczyna się decydująca rozprawa. Lotniskowce raz jeszcze zawróciły pod wiatr, aby ... lekką wypuścić resztę swych myśliwców. Znalazło sie ich teraz w powietrzu około trzydzieści sztuk. To wszystko, co mogliśmy przeciwstawić potężnej Reggia Aeronautika, pod jej własnym bokiem.

Atak miał charakter prawdziwie masowy. W jednej chwili obsiadły nas roje samolotów. Bomby sypały się z poza chmur i spod nich. Nad naszymi głowami, z długich kluczów, odrywały się pojedyncze samoloty. Jeden po drugim, kładły się na skrzydło i lotem nurkowym waliły pionowo w dół, wprost na nasze okręty. W tym samym czasie od dziobu zbliżało sie największe niebezpieczeństwo — nisko nad wodą, kluczami, po trzy sztuki, nalatywały torpedujące Savoje". Ich niezgrabne, kanciaste kadłuby i niski lot sprawiały dziwne wrażenie. Jakby im się spieszyło. Może ciężyły im żądła?...

Na chwilę tę czekały nasze myśliwskie „Fulmary". Pojedyńczo, rzuciły się na klucze „Savoi". Tam, gdzie je dopadły, z brązowych kadłubów zostawały drzazgi: — zbudowane z drzewa, po prostu rozlatywały się w powietrzu. Inne zapalały się i ... do morza „Fulmary" dwoiły się i troiły. Uwijały się, od klucza do klucza. Było ich jednak ... mało, aby mogły być wszędzie. Połowa maszyn nieprzyjacielskich przeszła ... ich linię i waliła teraz ku naszej flocie. Z chmur znów posypały się bomby.

Jeden z kluczów obrał sobie za cel „Garlanda“. Trzy brunatne kadłuby leciały bardzo blisko siebie, niemal dotykając się końcami skrzydeł, i to tak nisko nad wodą, że zdawało się, jakby muskały jej powierzchnię. Zdawało się, że lada moment zobaczymy twarze lotników. Mierzyły wyraźnie tuż przed nasz dziób. Były już od nas może na czterysta, albo i mniej metrów, gdy nagle najbliższy z samolotów zawahał się, położył się na skrzydło i zawrócił, rzucając jednak przedtem do wody ciemne, długie cygaro. Zauważyliśmy je po pianie, jaką spadając wznieciło. Drugi i trzeci samolot wykonał dokładnie to samo. Wyglądało to wszystko jak na ćwiczeniach, gdyby nie szalony terkot naszej artylerii i smugi pocisków, tryskające ku „Savoiom“.

W wodzie tymczasem rwały ku nam trzy torpedy. Aż trudno było uwierzyć, że to rzeczywistość. I że za chwilę może się ona źle dla nas skończyć. Na szczęście, od kilku sekund byliśmy już na zwrocie. Być może, iż Włosi nic zauważyli, że w chwili ataku rufa „Garlanda“ już szybko uciekała w kierunku przeciwnym. Mijały długie sekundy — bez wybuchu. Widocznie torpedy przeszły bokiem. Był to jedyny wypadek, kiedy dla wyminięcia torpedy, wolno nam było zmienić kurs. W innym wypadku — nie.

— „Konwój musi zachowywać szyki!“ — wyraźnie przykazywał sygnał, przesłany nam przed atakiem.

W międzyczasie celowniczowie nasi brali obfity rewanż, strzelając w kierunku odlatujących „Savoi“. W pewnej chwili motory środkowego samolotu wypuściły za sobą długie, ciemne smugi.

— Dostał? — wrzasnął obserwator.

Upłynęła sekunda i z brązowego kadłuba wybuchnął jasno - pomarańczowy płomień. Gdy błysk zgasnął, z samolotu zostało w powietrzu tylko trochę czarnego dymu. Na wodę nie spadło nic. W powietrzu leciały już tylko dwa aparaty. Niedaleko uszły, gdy dopadły je „Fulmary“. Jeden z „Savoi“ zwalił się do morza, szorując po jego powierzchni i burząc wodę dokoła. Gdy stracił bieg, podniósł się wolno ku górze ostry płat jego skrzydła. Ukazały się na nim królewskie kolory i żółte wiązki z toporami — herb wojującego faszyzmu. Wkrótce i to znikło.

Niebawem środek walki przeniósł się w pobliże okrętów liniowych. Jedna formacja, po drugiej, parła w kierunku pływających fortec. Był to wspaniały widok. Od nas, wyglądało to, jakby Włosi dolatywali niemal że do samych burt pancerników. Ilekroć podeszli, na „Prince of Wales“ odzywał się wtedy niski, basowy ton. To grały „pianina Chicago“. Ośmiolufowe, sprzężone działa przeciwlotnicze kładły zaporę czarnych obłoków. Układały się one tak gęsto, że tworzyły jedną zwartą ścianę. Włosi uderzali o nią — i jeden po drugim, opadali do morza. Ani jeden ich samolot nie doszedł na odległość strzału. Zazdrościliśmy pancernikowi jego wspaniałej broni, a jednocześnie, przyznać trzeba, podziwialiśmy męstwo Włochów. Nigdy przed tem, ani potem, nie widzieliśmy nawet śmielszych Niemców, którzyby tak blisko podeszli z torpedami do nas.

Nie wszystkie jednak wysiłki nieprzyjaciela poszły na marne. Jedna torpeda trafiła wtedy „Nelsona“. Widzieliśmy, jak przy jego burcie wyrosła nagle wysoka kolumna wody. Była wyższa, niż od wybuchu bomby, jakoś bardziej prosta i smuklejsza. Wybuch na angielskim pancerniku nastąpił na wysokości jego pierwszej wieży, niebezpiecznie blisko dziobowych komór amunicyjnych. Okręt przyjął ten cios w sposób godny swego imienia. Nie drgnął nawet, tylko masyw jego pomostu pochylił się trochę wprzód, podczas gdy rufa dźwignęła się o jedną, a może dwie stopy, nad głębiną. Z zewnątrz trudno się było domyśleć, że do wnętrza pancernika wlało się równocześnie parę tysięcy ton wody.

Gdy po skończonym ataku podliczyliśmy meldunki samolotów i okrętów, okazało się, że ani jeden z torpedujących aparatów nie uszedł cało.

— Była to prawdziwa „La Disperata!“ — powiedział sygnalista i patrząc na blankiet obliczeń, dodał: „Musiał tam chyba w każdej maszynie siedzieć gestapowiec z rewolwerem w garści!

W istocie, Włosi tego dnia wykazali wiele poświęcenia. Błąd ich jednak polegał na tym, że rozproszyli swe siły. Jednocześnie rzucili się na pancerniki, konwój i eskortę, chcąc nas wszystkich, jakby za jednym zamachem, wytopić. Nie przewidzieli widocznie, że w tym samym momencie w blachy pokładów przy działach wparły się mocno stopy ludzi, gotowych odstąpić swe życie tylko za najwyższą cenę.

Przerwa na tego rodzaju refleksje nie trwała długo. Przed dziobem, po lewej burcie, od strony Sycylii, pojawiła się przed nami czarna, szkwałowa chmura. Powiało od niej chłodem i wilgocią. Gdy jej cień przysunął się bliżej, u spodu, pod szarymi zaciekami zasrebrzyła się nagle powierzchnia morza. Czoło ulewy rolowało powoli przez pobojowisko, zgarniając wałęsające się nad tonią dymy i rozpędzając w powietrzu swąd prochu. W pewnej chwili pod dolną krawędzią chmur pojawiły się rzędy czarnych, drobnych kresek. Przerywane ich linie przesuwały się szybko w prawo, w kierunku naszego kursu. Były to nowe fale lotnictwa torpedującego. Widzieliśmy znów wyraźnie — leciały tym razem w dwóch formacjach: jedna, wprost na nas, druga zaś nieco w bok, w kierunku konwoju.

Zaledwie pierwsze nasze salwy rozerwały się na ich drodze, gdy raptem z góry, lunął rzęsisty deszcz. Spadł on na nas jak kurtyna, zasłaniając wszystko — samoloty, konwój, nawet dziób naszego „Garlanda“. O strzelaniu nie mogło być mowy. Wprawdzie głuchy warkot motorów, przezwyciężając na chwilę szum ulewy, zadudnił w górze lecz raptem urwał się.

Słońce będzie już wtedy nisko nad horyzontem...

Dokonywał właśnie owych obliczeń na marginesie mapy, gdy siedzący z drugiej strony operator, powtórzył do mikrofonu otrzymany przed chwilą meldunek. Potem obszedł stół i odmierzywszy coś ekierką, kreślił ołówkiem na mapie niewielki krzyżyk, pod nim zaś strzałkę i krótką notatkę: — 6 krążowników.

— Sprawdzić ten meldunek! — powiedział na to admirał, spokojnie odkładając swój ołówek. Notatka operatora zawierała nową wiadomość. Spoza zachodniego cypla Sycylii wysunął się nowy przeciwnik. Eskadra szła widocznie z Palermo. Znajdowała się już obecnie niebezpiecznie blisko konwoju — nie całe osiemdziesiąt mil. Razem z pancernikami, walącymi z północy, była to jeśli nie cała flota włoska, to w każdym razie siła ogromna. Oczyma duszy dowódca brytyjski widział: — rozwierały się nad nim ramiona potężnych kleszczy. Ale na skupionej jego twarzy przewinął się tylko ledwo dostrzegalny uśmiech. Być może, że w myślach zabrzmiało mu echo własnych jego słów: „Musimy dojść!“

Dalsze rozważania przerwał znów operator. Zdjąwszy z uszu słuchawki, mówił, że nie można sprawdzić meldunku. Wprawdzie samolot zaczął kwitować odbiór sygnału, lecz urwał w jego połowie i odtąd, pomimo ciągłego wzywania, nie zgłaszał się.



Włosi uderzali o nią i jeden po drugim opadali do morza.

— Przelecieli! — zawyrokował celowniczy „Cerlikonu“, naciągając na swą głowę kaptur gumowego płaszcza.

Te słowa ulżyły wszystkim.

Dnia tego był to ostatni atak włoskiego lotnictwa. Potem nastała cisza. Przyniosła ona odpoczynek, chociaż nie wszystkim.

W tym samym czasie, w kabinie operacyjnej na „Prince of Wales“, schylony nad wykreślaczem, admirał brytyjski odmierzał cyrklem odległości i obliczał. Właśnie pięć godzin temu otrzymał meldunek, że nieprzyjaciel wyszedł z Neapolu. Wkrótce samoloty z „Ark Royal“ nawiązały z nim pierwszy kontakt. Wśród okrętów włoskich rozpoznane zostały cztery pancerniki, w tym dwa, klasy „Roma“. Oznaczało to po stronie włoskiej ogromną przewagę kalibru dział, pancerza i jak zwykle szybkości.

Rzucane na biały arkusz mapy świetlne punkciki, zbliżały się ku sobie powolnym, ale nieustannym posuwem. Admirał raz jeszcze rozwarciem cyrkla porównał ich odległość. Nie ulegało wątpliwości: — za trzy godziny jego własna flota i nieprzyjacielska znajdą się w zasięgu widoczności i — szesnasto - calowych luf.

Dowodzący operacją admirał, miał teraz przed sobą dwie decyzje: — albo podzieliwszy odpowiednio swe siły, przyjąć walkę na obu frontach, albo rzuciwszy wszystkie siły na północ, jednym bezpośrednim zwarciem rozstrzygnąć losy wyprawy. Pierwsza decyzja przeciągała ryzykowną walkę przez noc całą, druga, wystawiała konwój na żer tamtych, z Palermo. Wprawdzie istniała jeszcze trzecia możliwość: — „strategicznego wycofania się“, ale tej admirał nie brał pod uwagę. Nawet o niej nie myślał. Jeszcze chwilę czekał na potwierdzające meldunki lotnicze, gdy zaś nadeszły, reje „Prince of Wales“ okryły się różnokolorowymi flagami sygnałów.

Jedne po drugich, okręty zwiększały teraz swe obroty, manewrując na wyznaczone miejsce w nowym szyku i na nowym kursie. Na dotychczasowym, pozostał tylko konwój, a z nim cztery kontrtorpedowce i jeden stary krążownik. Poza tym wszystkich zabrał z sobą admirał. Okryci pianą, jak zdyszane rumaki popędziliśmy teraz z szybkością trzydziestu węzłów — na północ. Gdzieś, z tyłu, za nami, wlókł się „Nelson“. Biedny kaleka nie mógł za nami nadążyć, ale i on, chociaż powoli i dziobem ryjąc wodę, ruszył w kierunku nieprzyjaciela. Przecież jego działa mogły się nam przydać.

Za rufą, po prawej naszej burcie, sylwetki konwoju stawały się co raz mniejsze. Co raz bardziej zlewały się z sobą, aż zniknęły w końcu za horyzontem. Oddaliliśmy się z uczuciem, że zostawiliśmy naszych towarzyszy zdanych wyłącznie na boską opiekę. Sami pędziliśmy w pełnym alarmie, z gotowymi do boju działami, świadomi swej siły i wiary w zwycięstwo.

Nastrój oczekiwania przeciągał się. Mijały godziny. Dwa nikłe światełka, na pozbawionym wyobraźni wykreślaczu, migały co raz bliżej. W rzeczywistości oznaczały one dwie nieprzyjacielskie floty, liczące tysiące ton pancerza i milion koni w turbinach, pracujących teraz na maksymalnej mocy.

Byliśmy już bardzo niedaleko, może o piętnaście minut drogi od nieprzyjaciela, gdy lotniskowce nasze rzuciły do statku dwie eskadry „Swordfish‘ów“. Kiedy przelatywały koło nas, ujrzeliśmy podwieszone pod ich kadłubami, długie, ciemne cygara — torpedy. Dzielne, stare dwupłaty szły naprzód, aby nam pomóc. Drobne ich punkciki były jeszcze widoczne na horyzoncie, gdy dzwonek radiostacji zawiadomił nas, że odebrana ona sygnał alarmowy. Pochodził on od dowódcy „Swordfisch‘ów“, który meldował krótko: — „Nieprzyjaciel na zwrocie“.

Po pierwszym sygnale, przyszły dalsze. Naniesione na mapę, wykreślały nowy kurs Włochów. Kurs ten prowadził po najkrótszej drodze — do Neapolu. Nie ulegało już wątpliwości—Włosi uciekali! W chwili, gdy odległość wynosiła mniej, niż podwójny zasięg armatniego pocisku, dumna armada włoskiego imperium zawróciła, nie oddawszy do nas ani jednego strzału.

Pościg nasz, praktycznie biorąc, nie miał wielkiego znaczenia. Pomimo, że kręciliśmy maksymalną ilość obrotów, Włosi oddalili się szybko. Gdy odległość wzrosła na tyle, że powrót ich do naszego konwoju podczas nocy stał się mało prawdopodobny, zawróciliśmy. Po drodze spotkaliśmy naszego inwalidę „Nelsona“. Przydzielono mu eskortę dwóch kontrtorpedowców i odesłano go do Gibraltaru.

Tymczasem flota nasza popędziła na południe. W samę porę, bo w okół konwoju wrzał bój zacięty. Słaba jego eskorta opędzała się właśnie sześciu potężnym, włoskim krążownikom. Była to walka Dawida z Goliatem. Pomimo dysproporcji sił, choć jeden pocisk włoski mógł wystarczyć, by rozłożyć każdy z osłaniających konwój kontrtorpedowców — dowódca brytyjski nie tylko, że nie ustępował, ale wręcz nie dopuszczał nieprzyjaciela na odległość strzału do statków. Osłoniwszy bezbronną trzodę, która teraz zawróciła na południe, gęstą zasłoną dymu, tak z tym parawanem wędrował, że atakujący nieprzyjaciel znajdował go zawsze w poprzek swej drogi. Raz po razie, krążowniki włoskie próbowały sforsować zasłonę. Wtedy wyłaniały się z niej sylwetki trzech, niekiedy czterech kontrtorpedowców i parły wprost na Włochów, nie zważając na ich morderczy ogień. Nie raz dochodziły one na samobójczą odległość. Za każdym jednak razem nieprzyjaciel — nie wytrzymywał. Bał się ich torped — i zawracał.

W ciągu dwóch godzin podobne sceny powtórzyły się kilkakrotnie. Była w nich groza, pełnia bohaterstwa, a jednocześnie coś wzruszającego — podziw dla najwyższej sztuki. Przecież te cztery, małe okręty nie tylko trzymały w szachu sześć potężnych twierdz nieprzyjacielskich, ale same strzelały do nich, pomimo, że ich 100 mm pociski, jak groch odbijały się od grubych pancerzy włoskich okrętów.

Niestety, nie obyło się tu bez ofiar. Pierwszą, padł stary krążownik dowódcy eskorty. Dwa sześcio-calowe pociski rozerwały mu burtę koło maszynowni, zmuszając do zmniejszenia szybkości i wycofania się po za zasłonę. Cały ogień głównego i pomocniczego uzbrojenia Włochów skoncentrował się potem na kontrtorpedowcach. Po kilku minutach walki na pomost jednego z nich zwalił się sześciocalowy „cielak“, przebijając podstawę masztu. Wodował jednak w końcu w morzu bez wybuchu.

(Dokończenie w następnym n-rze).

HELIODOR KUC

NIE WSZYSTKO TO JESZCZE

AGATKO, GDZIE TY?

Satyryczno-parodystyczna

POWIEŚĆ KRYMINALNA

Ciąg dalszy

— Pstryk życie wlałeś we mnie.—Monk uścisnął rękę wiernego wywiadowcy:—Nie traćmy czasu, bo Iskander stoi już przed domem i ogląda się na nas.

Pies rzeczywiście węszył przed bramą domu Nr 27, gdzie nocy ubiegłej zdybano trzech czarnorękalów, w drugim podwórzu, w poprzecznej oficynie, w jednej z tych brudnych nor, jakie się zawsze kryją wstydliwie w zakamarkach wielkomiejskich kamienic. Należało obmyślić niezawodny plan działania. Dla komisarza Monka nie ulegało wątpliwości, że dziecko ukryte jest tutaj — właśnie dlatego, że stąd wyciągnięto trzech bandytów. Reszta szajki, porywając dziś z rana Agatkę, być może w błyskawicznym odwecie za uwięzienie ich trzech kamratów („Swoją drogą — myślał Monk z mimowolnym uznaniem — „organizacja doskonała"), reszta więc szajki rozumowała z pewnością w ten sposób, że miejsce, które już wytropiła policja, będzie najbezpieczniejszym schronieniem: tylko bowiem skończony matoł—a policja nie uważała czarnorękalów za matołów — może powrócić do spelunki już ujawnionej i znanej policji.

— Oczywista — rozważał Monk — nie ukryli się w tej samej norze; jest ona zresztą opieczętowana i zamknięta na kłódkę. Ale ukryli ją niewątpliwie w jednej z tych olbrzymich oficyn, gdzie się gnieżdżą, jak w kojcach, męty i występek. Trzeba będzie wziąć do galopu dozorcę. Łobuz! Jest przecież konfidentem, a wczoraj strugał wariata, że o niczem nie wie. Bandyta! Może na dwóch stołkach siedzi...

Monk gwizdnął leciutko na Iskandra, który natychmiast przybiegł i przywarował u jego nóg.

— Pstryk — powiedział do wywiadowcy: — trzeba działać ostrożnie i przemyślnie. Nie mogą nas nabić w butelkę. Idź z Iskandrem do tej knajpy na rogu, weź sobie piwa z funduszów dyspozycyjnych, usiądź przy oknie i obserwuj bramę. Gdyby ktoś wychodził z dzieckiem na ręku, natychmiast aresztować, postawić całą policję na nogi. Przypuszczam jednak, że nikt nie wyjdzie. Ja pójdę do wydziału śledczego, przyślę ci tu do pomocy Bluma i dam instrukcje Plumowi, a potem na momencik wpadnę do domu, żeby się choć pół godzinki zdrzemnąć, żeby odświeżyć mózg.

Nie masz pojęcia jaki jestem po tej nocy zmachany i śpiący. Gdyby nic nie zaszło, czekajcie na mnie w knajpie.

— Rozkaz, panie komisarzu! — odrzekł służbiście Pstryk.

Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Załatwiwszy instrukcje dla Bluma i Pluma, Monk z westchnieniem ulgi znalazł się u siebie. Zaledwie się wyciągnął na kanapce i przymknął oczy, rozległ się z gabinetu gwałtowny krzyk służącej:

— Panie naczelniku, panie naczelniku!

— Co się stało? — Monk zerwał się pół przytomny.

— Gubernator krzyczy, wrzeszczy przez telefon, żeby się pan naczelnik natychmiast zameldował u niego.

— Boże, — jęknął Monk: — za co mnie tak karzesz! Czegóż ten bałwan może znowu chcieć ode mnie? Powiedz, że zaraz będę. Może porwali samą gubernatorową... Och!

— Natychmiast do gabinetu, natychmiast! — zawołał dr Feder z oznakami najwyższego pomieszania i zniecierpliwienia, gdy ujrzał Monka w drzwiach: — Ekscelencja czeka od godziny!

Gubernator chodził gorączkowo po gabinecie, trzymając w ręku dużą kopertę z niebieskawego papieru. Na widok Monka stanął i rozłożył ręce, upuszczając niechcący kopertę na perski dywan. Monk schylił się, by ją podnieść i w przelocie, z właściwą sobie bystrością, zauważył stempel pocztowy: „Haparanda XXV".

— Acha — pomyślał — urząd na rogu Akacjowej; Iskander obwąchiwał obydwie skrzynki...

— Panie komisarzu — mówił gubernator, marszcząc brwi: — Co to ma znaczyć? Przede wszystkim szukam pana po całym mieście i znajduję dopiero w mieszkaniu. W takiej chwili pan sobie najspokojniej siedzi w domu! To karygodne! Po drugie. meldował się u mnie przed pół godziną policjant Nr 6969 i oświadczył, że z pańskiego rozkazu ma zabrać całą moją korespondencję i mojej małżonki. Udzieliłem wprawdzie panu szczególnych pełnomocnictw. zdaje się jednak — tu gubernator usmiechnął się ironicznie — zdaje się, że tym razem przekroczył je pan... przekroczył nieroztropnie. Proszę się wytłumaczyć.

Monk westchnął głęboko i bezradnie.

— To kretyn, ekscelencjo, ten Nr 6969, to ten sam, co telefonował po straż ogniową.. Niech mnie ekscelencja wysłucha.

I Monk krótko a rzeczowo zreferował rozmowę jaką miał z policjantem. i rozkaz, jaki mu wydał.

— To zmienia nieco postać rzeczy — powiedział gubernator łagodniej: — Mimo to uważam, że nie miał pan prawa dawać podobnych zleceń naczelnikowi poczty bez porozumienia się uprzednio ze mną. Pełnomocnictwa pańskie obejmują wszystko, z wyjątkiem mojej osoby. Proszę to sobie zapamiętać.

— Chciałem się porozumieć z ekscelencją, ale nie było na to czasu, nie było sekundy do stracenia. Uczyniłbym to zresztą później, w wolnej chwili. Tymczasem sprawa pali się w rękach.

— Pali się — przerwał z przekąsem gubernator:— a pan siedzi sobie w domu.

— Byłem tam służbowo, ekscelencjo — powiedział z naciskiem Monk: — musiałem stamtąd zabrać pewne potrzebne mi materiały.

— No, dobrze już, dobrze. Dlaczego jednak pan wydał te dyspozycje naczelnikowi poczty? Na jakiej podstawie?

— Trudno mi wtajemniczać ekscelencję we wszystkie szczegóły śledztwa i metody, jakiemi się policja zwykła posługiwać — z kolei Monk przemówił ironicznie, dając tem gubernatorowi do zrozumienia, że nie należy pchać nosa do cudzego prosa, że zasadą dobrej organizacji pracy jest podział kompetencyj, że wreszcie, jak to powiadają — właściwy człowiek na właściwym miejscu: — Mogę tylko to powiedzieć, że spodziewałem się, iż czarnorękale zechcą w jakiś sposób nawiązać kontakt z ekscelencją — Monk spojrzał znacząco na kopertę, którą gubernator odruchowo schował do kieszeni: — że mogą żądać, powiedzmy okupu za gubernatorównę, wysyłać listy z pogróżkami — Monk wówił powoli, odmierzając zgłoski, z naciskiem, obserwując, jak gubernator miesza się jakgdyby i rumieni: — policja, ekscelencjo, powinna o tem wszystkim pierwsza wiedzieć. Po drugie — to jeszcze mogę powiedzieć, chodziło mi o natychmiastowe badania daktyloskipijne ewentualnej korespondencji. Odciski palców, jak ekscelencja wie, mają ogromne znaczenie w ujawnianiu przestępstw. Ale trzeba je badać na świeżo. Gdy koperta będzie odpieczętowana, gdy papier będzie już w innych rękach odciski palców mieszają się, i trudno wtedy dojść prawdy.



Rys. W. Siemiątkowski

Monk zastał, jak się umówili, w knajpie siedzących nad kuflem piwa.

— No, dałem mu dobrą lekcję! — myślał Monk, kończąc swój wykład, i dodał głośno: — Mam wrażenie, że właśnie ta koperta, którą ekscelencja trzyma, mogłaby nam posłużyć za wskazówkę. Przepraszam, kiedy ekscelencja otrzymał ten list? Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że pytam urzędowo, jako szef służby śledczej.

Gubernator był już całkowicie opanowany.

— Przed pół godziną — powiedział niedbale: — doręczyła mi go ranna poczta. Ale to nie ma nic wspólnego ze sprawą. List jest od pana Tromfa, redaktora „Podwieczorku Haparandy", który prosi mię o audiencję, żeby ustalić — no, program i technikę komunikatów prasowych w sprawie zniknięcia naszej biednej Agatki — i głos gubernatora zadrżał lekko.

— Łżesz' — pomyślał Monk, śmiejąc się w duszy z naiwności gubernatora: — Mnie w pole nie wywiedziesz. Po pierwsze, gdyby pisał Tromf, koperta byłaby firmowa, z naddrukiem i pisana na maszynie. A to jest ordynarna koperta za dwa centy i zaadresowana odręcznie. Po drugie. Tromf wogóle nie potrzebuje pisać, bo może się w każdej chwili skomunikować telefoniczne. Coś w tem musi być!

— Tak jest, ekscelencjo — powiedział głośno: — program trzeba bezwarunkowo ustalić. Całe miasto jest jak naelektryzowane. Komentarzy, plotek, domysłów huk. Żal powszechny, współczucie ogromne. Nic dziwnego, ekscelencja zaskarbił sobie miłość wszystkich...

I Monk pochylił głowę, osładzając tem pochlebstwem poprzednie gorzkie pigułki.

— Czy ekscelencja ma mi jeszcze coś do polecenia?

— Nie, dziękuję panu z całego serca. Tylko proszę nie ustawać w wysiłkach i doprowadzić dzieło do szczęśliwego końca.

Monk opuścił gubernatora, gubiąc się w domniemaniach. Nie wypadało mu dopytywać się natrętnie o pochodzenie listu, skoro gubernator schował go przed nim. Coś w tem musi być! — powtórzył Monk. I dziwnym zbiegiem myśli postępowanie gubernatora skojarzyło się w jego mózgu z dziwacznym zachowaniem się Iskandera, który przed godziną tak intensywnie obwąchiwał gubernatorową i Marysię. Hm — myślał Monk — twardy mam orzech do zgryzienia. Ale nie takich dokazywaliśmy cudów!

I podniecony nowemi trudnościami, które, jak mu się zdawało, zaczynają się piętrzyć przed nim, podążył do Pstryka i Bluma, zapowiedziane bowiem pół godziny minęło już, i wywiadowcy mogli się niepokoić. Monk zastał ich, jak się umówili, w knajpie, siedzących nad kuflem piwa. Nic godnego uwagi nie zaszło. W bramie domu Nr 27 odbywał się ruch normalny, ludzie wchodzili i wychodzili, zdarzył się nawet drobny wypadek, jakiś cyklista bowiem, wyjeżdżając z bramy, przewrócił mijającego go przechodnia, i zrobiło się małe zbiegowisko, ale porządek został przywrócony przez narożnego policjanta, który spisał protokół. Żadnego dziecka nikt nie wynosił.

— Moi drodzy — zadecydował Monk: — Trudno siedzieć w tej zasadzce godzinami i patrzeć w okno. Trzeba coś postanowić, w lewo, albo w prawo. Zrobimy tak: ja z Blumem pójdę tam na zwiady. Pstryk niech tu zostanie w dalszym ciągu i będzie gotów na każdy sygnał. Blum, rewolwer w kieszeni odbezpieczyć, postawa czynna, baczność, zamienić się w słuch i wzrok!

Zachowując konieczne ostrożności, komisarz w towarzystwie Bluma przeszli przez bramę, minęli pierwsze podwórze, przeszli przez drugą bramę i weszli na drugie podwórze. Tutaj w poprzecznej oficynie wślizgnęli się w niewielkie drzwi, wiodące do sieni i poczęli wstępować po schodach, kierując się na trzecie piętro, do owej dziury, gdzie schwytano Pifa, Pafa i Hosę. Schody były drewniane, nieznośnie skrzypiące, brudne, zaśmiecone, pozalewane wodą i mydlinami. Ciężki i mdlący zapach obierzyn, kwaszonej kapusty, niewietrzonych mieszkań, przepoconych pierzyn, woń piwa i samogonu — wszystko to zmieszane i niemal gęstą mgłą wiszące w powietrzu tamowało dech w piersiach i przyprawiało o zawrót głowy. Było to zaiste „Armelentegeruch" — zapach nędzy i występku w całem znaczeniu słowa.

— Jakto ludzie mogą żyć w takich warunkach? — myślał Monk filozoficznie, czując, jak mu z każdym piętrem coraz trudniej oddychać: — A swoją drogą trzebaby z tem zrobić jakiś porządek. Tyle się mówi i pisze o podniesieniu mas, o rozpowszechnieniu kultury, o ubezpieczeniach społecznych i innych dyrdymałkach. Niechby tak jeden z drugim taki pismak, co to sam rozbija się austrodaimlerem, przyszedł tutaj i powdychał godzinkę. Nie tak to pachnie gubernatorowa... Ach, te „Quatre Epingles", cóż to za wyrafinowany, poprostu perwersyjny zapach...

Komisarz Monk tak był zatopiony w rozmyślaniach, które, w połączeniu z duszącem powietrzem klatki schodowej, poczynały znowu przyprawiać go o senność, że nie zwrócił zupełnie uwagi. jak schody nad nim zaskrzypiały i zadygotały pod naporem czyichś ciężkich kroków, o ściany zaś odbiła się oryginalna piosenka, śpiewana niezłym nawet barytonem:

> Siekiera, motyka, piłka, kleszcze —
> Moja Maryś, kochaj jeszcze!
> Siekiera. motyka, huzia hyź —
> Kochaj, Maryś, bom ja byś!

Wspinających się panów szybko minął tęgi, młody mężczyzna, przystojny niewątpliwie, ale urodą zdrowego chama i chłopa od gnoju. Był to, co się zowie — drab, drągal, dryblas, stuprocentowiec, jaskiniowiec, pierwotnik, półmalpolud, o rękach i szczękach goryla. Niby uosobiona, chodząca teoria Darwina. Kobiety kochają się w takich i, rzecz osobliwa, kochają się tem namiętniej, im są delikatniejsze i subtelniejsze.

> Siekiera, motyka, huzia, hyź —
> Kochaj, Maryś, bom ja byś! —

dobiegał już z parteru śpiew draba, gdy komisarz Monk ocknął się ze swej zadumy i stanął jak wryty.

— Blum! — zawołał, chwytając za rękę wywiadowcę: — Co on śpiewa? Słyszysz, co on śpiewa?! Maryś... byś... Do najjaśniejszej cholery! Cóż za osioł ze mnie! Marysia Bysiówna, niańka Agatki! Blum w te pędy za nim!

Ciąg dalszy w następnym numerze.

PIERNIKI tradycją Torunia

Echa średniowiecza w nowoczesnej fabryce

Któż nie zna słynnych pierników toruńskich? Kto nie zajada się nimi, zwłaszcza w czasie Świąt Bożego Narodzenia. Właśnie zbliżają się święta. Znów będziemy mieli okazję do zaspokojenia swojego łakomstwa. Nie trzeba być łakomczuchem, aby pierniki toruńskie jadać i zachwycać się ich smakiem. Zasługują w zupełności na to. A dlaczego? Postaramy się na to pytanie odpowiedzieć.

Mówimy o piernikach istotnie toruńskich i nie tylko o samą ich nazwę nam chodzi. Mówimy o piernikach produkowanych w Toruniu przez Zakłady Wytwórcze „Społem", bo tylko one z racji swego doskonałego smaku odpowiadać mogą tradycjom piernika toruńskiego.

Zna je zresztą doskonale Polska cała: od Białegostoku do Jeleniej Góry i od Rzeszowa aż po Szczecin, bo wszędzie tam docierają i są poszukiwane wyroby Toruńskich Zakładów Wytwórczych „Społem". Konsumenci potrafią odróżniać rzeczy dobre od złych. Ci sami konsumenci dziś już wiedzą, że pierniki „Społem" dlatego są tak niezrównane w smaku, bo Zakłady Wytwórcze w Toruniu dają produkt z pełnowartościowych surowców wykonany, produkt wyróżniający się spośród wielu innych o takiej samej, czy podobnej nazwie, produkt, w którego wyrobie sięgnięto do największych tradycji piernika toruńskiego. Tu kryje się tajemnica powodzenia nie tylko pierników, ale i innych wyrobów Zakładów „Społem" w Toruniu np.: herbatników, bo przy produkcji ich oparto się znów na najlepszych wzorach przedwojennych.

Zresztą produkcja pierników toruńskich sięga średniowiecza i od tych czasów posiada nieprzerwaną tradycję. Dotychczas fabryka toruńska posiada średniowieczne formy do pierników, które reprodukujemy obok. Jest to jeden z przykładów zdrowej i produktywnej tradycji w przemyśle.

Zakłady Wytwórcze w Toruniu, ul. Żółkiewskiego 34, zostały wykupione przez „Społem" od niemieckiej firmy: „Gustaw Weese" w styczniu 1939 roku. Po dokonaniu niezbędnych napraw i remontów w sierpniu tegoż roku rozpoczęto produkcję. W miesiąc potem wybuchła wojna. oku pant zajął Toruń, fabrykę odebrano prawym właścicielom i Gustaw Weese powrócił do niej w charakterze treuhendlera. Zastał duże zapasy surowców i gotowych fabrykatów i tak sprytnie gospodarował ,że znów został właścicielem Zakładów.

Równocześnie z usunięciem okupanta zniknął i Weese. Zakłady powróciły do „Społem" w maju 1945 r. Wróciły teoretycznie, bo w rzeczywistości aż do grudnia tegoż roku mieściły się w nich magazyny wojskowe. W miarę przenoszenia tych magazynów do innych budynków porządkowano fabrykę, bo stan jej był opłakany. Maszyny silnie zniszczone, urządzenia działu karmelarskiego — zrabowane przez Niemców. Surowce i półfabrykaty rozgrabione.

Dokonano poważnych napraw i remontów i z końcem listopada 1945 r. w części fabryki przekazanej już przez władze wojskowe, rozpoczęto produkcję. Od tego czasu rozwój Zakładów postępuje stale naprzód. Początkowo np. ztrudniały 36 pracowników, a obecnie liczba ich w „sezonach" jesiennym i wiosennym wynosi 267 osób. O ile na początku produkcja zakładów dawała 7,5 tony gotowych wyrobów, to obecnie taką samą ilość wykonuje się w cztery dni.



Stare, historyczne wzory pierników toruńskich.



Ręczne zdobienie pierników na taśmie bieżącej.

Zakłady „Społem" w Toruniu są największą w Polsce wytwórnią pierników. Pod względem wysokości produkcji herbatników — również należą do największych wytwórni tego rodzaju wyrobów. Ostatnio Zakłady poszerzyły asortyment swoich wyrobów rozpoczynając produkcję cukrowych marmoladek, szeregu wyrobów obciąganych w czekoladę i czekoladek deserowych. Cała produkcja Zakładów idzie na zaspokojenie zapotrzebowania placówek handlowych „Społem". Kierownictwo tej placówki, która swój plan produkcji na rok bieżący już wykonała ze 100 proc. nadwyżką spoczywa w ręku dr Felicjana Pintowskiego i Aleksandra Kowalika. (a).

Spółdzielczość na Pomorzu

Rozmowa z ob. dyr. Adamem Żywiałowskim — delegatem Zarządu „Społem" na Okręg Bydgoski

— Na terenie Pomorza — rozpoczyna rozmowę ob. dyr. Żywiałowski — pracowałem już przed wojną. Organizowałem wówczas Oddział „Społem" w Bydgoszczy, który rozpoczął swoją działalność w kwietniu 1939 r. Na terenie Okręgu istniało wówczas 8 spółdzielni, które prowadziły 14 sklepów. Zadaniem Oddziału było zaopatrywanie tych spółdzielni w towary. Wybuchła wojna. Bydgoszcz zajęta została przez wojska niemieckie. Placówki spółdzielcze przejęły władze okupacyjne.

Po oswobodzeniu Pomorza, w marcu 1945 r., otrzymałem polecenie wyjazdu do Bydgoszczy, by ponownie organizować spółdzielczość okręgu, przed którą stanęły teraz zadania na bardzo szeroką zakrojone skalę. Praca olbrzymia, trudności piętrzyły się na każdym kroku, a do roboty, poza mną, nie było początkowo nikogo. Zabrałem się do pracy, powołując do życia 18-cie oddziałów powiatowych i 8 okręgowych oddziałów specjalnych.

Ponadto na terenach sąsiednich okręgów: Pomorza Zachodniego i Gdańska — zorganizowałem 5 oddziałów powiatowych. Wszystkie te placówki istnieją po dzień dzisiejszy, systematycznie rozwijając swoją działalność. A pracy jest dużo, bo tu na Pomorzu spółdzielczość typu spożywczego nie tylko w miastach, ale i na wsi najwięcej zyskuje zwolenników, najbardziej ludności odpowiada.

W połowie grudnia br. dzięki inicjatywie Centrali „Społem", zakończymy kapitalny remont „Domu Spółdzielczego", położonego w samym sercu Bydgoszczy. Znajdą w nim pomieszczenia: Dom Towarowy Bydgoskiej Spółdzielni Spożywców, sklep Spółdzielni Księgarsko-Papierniczej „Nauka" oraz Oddziały „Społem": Okręgowy Włókienniczy oraz Papierniczy i Materiałów Piśmiennych — kończy rozmowę ob. dyr. Żywiałkowski. (a.)

Nr 213

OKRĘGOWY ODDZIAŁ PRZEMYSŁOWO-ROLNY „SPOŁEM" w BYDGOSZCZY

W październiku 1945 r. powstało w Bydgoszczy Zrzeszenie Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej". W lipcu 1946 r. Zrzeszenie włączone zostało do Związku „Społem", tworząc Okręgowy Oddział Przemysłowo-Rolny (ul. Mostowa 7). Oddział utrzymuje kontakty handlowe ze wszystkimi tego rodzaju placówkami okręgowymi w całej Polsce, a na swoim terenie współpracuje ze 190 spółdzielniami „Samopomocy Chłopskiej" zaopatrując przemysł tych spółdzielni w postaci gorzelni, młynów, płatkarni itp. zakładów.

Oddział zatrudnia 53 pracowników, a praca jego podzielona jest na następujące referaty: I — zaopatrzenia i zbytu (zaopatrzenie w maszyny i surowce przemysłu rolnego i zbyt jego produktów), II — włókienniczo - oleisty (skup wełny i nasion oleistych oraz doprowadzanie tych artykułów do odpowiednich przetwórni spółdzielczych i państwowych), III — produkcji zwierzęcej (skup bydła zarodowego) dla państwowych nieruchomości ziemskich i oc ziałów mopomocy (łopskiej, wylęg drobnego inwentarza) IV-o skórek futerkowych (skup wszelkich skórek krajowych zwierząt futerkowych i doprowadzanie ich do Państw Zjedn. Przem. Skórzanego), V — wikliniarski (hodowla wikliny na wydzierżawionych resztówkach od gmin nych Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej"; produkcja koszyków na potrzeby miejscowej ludności), VI — ogrodnictwa (założony w sierpniu br., prowadzi skup owoców i warzyw), VII — mechanizacji rolnictwa (w stadium organizacji), przy współpracy Związku „Samopomocy Chłopskiej".

Kierownictwo Oddziału w osobach ob. ob. Aleksandra Wróblewskiego — kierownika i Zygmunta Mianowskiego — zastępcy, pracuje obecnie nad: doprowadzeniem do Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej" maszyn rolniczych, zorganizowaniem w roku przyszłym akcji torfowej, otworzeniem kursu dla brakarzy futerkowych oraz projektuje utworzenie specjalnej hodowli piżmowców dla powiększenia produkcji skór tych zwierząt, przy czym hodowla ta otrzyma wszelkie niezbędne zabezpieczenia, które unieszkodliwią tego gryzonia dla rolnictwa i rybołówstwa. (a)

Nr 211

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Radzyniu Podlaskim

Na kilka lat przed pierwszą wojną światową powstało w Radzyniu Podlaskim Towarzystwo Rolnicze, które w 1920 roku przekształcone zostało na spółkę akcyjną, występującą pod nazwą Syndykatu Rolniczego. W 1934 roku spółkę akcyjną przekształcono na spółdzielnię, znaną po dówczas pod firmą: Spółdzielczego Syndykatu Rolniczego. Wreszcie w maju 1940 roku zmieniono nazwę Syndykatu na Powiatową Spółdzielnię Rolniczo - Handlową w Radzyniu Podlaskim, ul. Lubelska 1.

W lipcu 1944 roku Spółdzielnia została całkowicie zniszczona i rozgrabiona. Pracę należało zaczynać od początku.

Obecnie Spółdzielnia zrzesza 4.313 członków i zatrudnia 60 pracowników. Prowadzi działy: zbożowy, nasienny, tekstylny, artykułów budowlanych, materiałów opałowych i pędnych, wymiany włókien (lnu i konopi), nawozów sztucznych, maszyn i narzędzi rolniczych oraz artykułów żelaznych i gospodarstwa domowego. Posiada 1 duży sklep o charakterze mieszanym, a w najbliższej przyszłości w nabytym ostatnio gmachu przy ul. Wandy Wasilewskiej otwiera drugi sklep o takim samym charakterze.

Po zniszczeniu wojennym Spółdzielnia odbudowuje się. Odbudowano już murowany, kryty blachą magazyn zbożowy, stajnie, magazyn artykułów żelaznych, garaże, magazyn na włókno. Na wykończeniu są mieszkania dla pracowników, a w toku odbudowy znajduje się gmach główny Spółdzielni z pomieszczeniami na sklep i biuro.

Kierownikiem Spółdzielni jest Konstanty Sławiński, pracujący na tej placówce od lat 30-tu, a jego zastępcą — Józef Gruszczyński (a)

Nr 212

Teatr Akademicki przy T.B.P.S.U.W.

ANDROKLES I LEW

bajka sceniczna w 5 aktach G. B. Shaw (tłum. F. Sobieniowski)



Megera (Irena Prudil) w sztuce „Androkles i Lew".

Wystawienie sztuki Wielkiego Kpiarza G. B. Shaw przez amatorski zespół akademicki mogło się wydawać przedsięwzięciem ryzykownym. Jednakże trudności natury aktorskiej, technicznej i... finansowej zostały przezwyciężone i kiedy zespół wystąpił w końcu lipca br. z polską prapremierą „Androklesa i Lwa" okazało się, że poziom artystyczny widowiska, mimo pewnych niedociągnięć, przekroczył najśmielsze oczekiwania. Po trzech spektaklach w lipcu przerwano wystawianie sztuki, aż obecnie, w ramach Tygodnia Studenta, wznowiono ją w teatrze na Karowej. Widzowi oglądającemu „Androklesa" po raz drugi musiała rzucić się w oczy poprawa pod każdym względem, polegająca nie tylko na usunięciu niedociągnięć i wielu usterek gry aktorskiej, lecz także na przekształceniu, poprawieniu dekoracji.

Bajka Shawa jest groteską. Nie jest apoteozą ani chrześcijan rzucanych w oczach Cezara na pożarcie lwom, ani Rzymian. Shaw z niezrównaną maestrią odsłania sprzeczności i bardzo ludzkie słabostki zarówno jednych jak i drugich.

Trzeba stwierdzić, że finezja błyskotliwych Shawowskich dialogów bywała chwilami zatracana na skutek fałszywej interpretacji intonacyjnej.

Na czoło zespołu wybił się zdecydowanie Stanisław Górski w roli Androklesa i Stanisław Rustecki jako Ferrovius. Z. groteskowo charakterystycznych kreacji na uwagę zasługują: Stefan Treugutt w roli Spintho i Adam Perzyk jako Poganiacz wołów. Świetna była Barbara Białostocka jako chrześcijanka Lawinia. Białostocka kreowała swą rolę z umiarem, bez cienia szarży. Jej dykcja i sposób wypowiadania kwestii nacechowane są prawdziwą kulturą artystyczną. Irena Prudil jako Megera stworzyła przekonywującą charakterystyczną postać „herod-baby", choć chwilami z pewną dozą sztuczności.

Sztukę przygotował zespół Teatru Akademickiego pod kierownictwem Zbigniewa Sawana. Pomysłowe kostiumy i dobre dekoracje o silnej ekspresji wydobytej oszczędnymi środkami projektował Andrzej Sadowski, student W.S.S.P. Ilustrację muzyczną skomponował Stanisław Prószyński.



Prolog sztuki „Androkles i Lew": Megera (Irena Prudil) i Androkles (Stanisław Górski).

Wystawienie „Androklesa i Lwa" jest dużym osiągnięciem zespołu Teatru Akademickiego, składającego się wyłącznie ze studentów wyższych uczelni warszawskich.

Ficowski

Z koncertów Filharmonii Warszawskiej

Ósmy z rzędu koncert Filharmonii Warszawskiej poświęcony był wyłącznie utworom rosyjskiego kompozytora Piotra Czajkowskiego. Jako kompozytor stanowi Czajkowski jednostkę niezwykle indywidualną, a zwłaszcza na tle narodowym i jest bardzo popularny w świecie muzycznym. Napisał on szereg oper, baletów, 3 koncerty fortepianowe, koncert skrzypcowy oraz 6 symfonii, z których czwarta, piąta i szósta (patetyczna) są najwięcej grywane przez różne zespoły filharmonijne. Filharmonia Warszawska wykonała w ubiegły piątek piątą symfonię Czajkowskiego E-moll. Symfonia ta powstała w roku 1888 i składa się z czterech części. Całość zbliżona trochę do formy Suity, rozpoczyna w pierwszej części symfonii temat klarnetu w połączeniu z fagotem spokojnie, by rozprowadzić następnie do tematu śpiewnego i pełnego wyrazu. Druga część symfonii — liryczne Andante rozpoczyna waltornia, później grają wiolonczele i w końcu skrzypce. Ta część wyjątkowo uczuciowa i o wielkim rozmachu dynamicznym. Trzecia część symfonii w rytmie walca, ruchliwa w końcowej fazie nawiązuje od tematu z pierwszej części symfonii. Czwarta część może trochę mniej zwarta pod względem formy, jednakże bardzo ciekawa i utrzymana w stylu Czajkowskiego. Symfonią dyrygował gościnnie Konstanty Iwanow, który wyćwiczył orkiestrę doskonale. W jego ujęciu symfonia brzmiała doskonale, jest to dyrygent wysokiej klasy. Iwanow jest mistrzem sztuki kapelmistrzowskiej, pełnym temperamentu i doskonałym interpretatorem. Na zakończenie koncertu poza programem usłyszeliśmy „Kaprys Włoski" Czajkowskiego.

Solistą wieczoru był znany pianista rosyjski, Lew Oborin, który wykonał z towarzyszeniem orkiestry koncert fortepianowy Czajkowskiego B-moll. Lew Oborin przyjechał do Polski, by wziąć udział w festiwalu muzyki słowiańskiej zorganizowanym przez Polskie Radio. Oborin czuje fortepian nie tylko technicznie, ale wydobywa z niego w odcieniu piękną barwę. Uderzenie w klawisze nie jest zbyt silne, ale zato bardzo subtelne i ciekawe.

Koncert fortepianowy Czajkowskiego zagrany był doskonale i licznie zebrana publiczność nagrodziła solistę, dyrygenta oraz orkiestrę rzęsistymi oklaskami. Na bis wykonał p. Oborin polonez i nokturn Chopina.

St. K.



Radziecki pianista, Lew Oborin, laureat konkursu Chopinowskiego z 1927 roku koncertował ostatnio w Filharmonii Warszawskiej.

Film Polski



Rys. J. Żebrowski

Dyrygent sowiecki Konstanty Iwanow

KĄCIK JĘZYKOWY

CO TO JEST MAŁŻEŃSTWO?

Zróbmy małą wycieczkę w dziedzinie tzw. etymologii języka. Jest to nauka o pochodzeniu wyrazów i ich powstawaniu. Po polsku nosi nazwę słoworodni, wywód zaś wyrazu nazywa się słoworodem, lub częściej źródłowcem. Nie każdy wyraz można zbadać tak dokładnie, żeby odnaleźć jego źródłosłów: pierwiastki wyrazów i wyrazy pierwiastkowe czyli pienne są przeważnie nierozwiązalne, tajemnicze w swym pochodzeniu. Możemy z łatwością wywieść źródłosłów takich wyrazów, jak: grzesznik, grzeszyć, grzeszny, nagrzeszyć — ale pochodzenie i powstanie pnia „grzech" będzie nieznane.

Aleksander Brückner jest twórcą polskiego „Słownika Etymologicznego", który wyjaśnia nam w sposób niezmiernie ciekawy źródłosłowy mnóstwa wyrazów polskich.

Kiedyś, gdy ten słownik się ukazał, Tuwim pisał o nim, że powinien się stać podręczną książką nie tylko każdego literata polskiego, ale i każdego inteligenta. Jako motto na swym Słowniku położył Brückner mądry czterowiersz Norwida: „I gdy wciąż wszyscy mówią, mało kto się spyta, jaki też jest cel słowa? Jak słowo się czyta w sobie samym? I dziejów jego promień cały rozejrzeć — mało kto jest ciekawy, zuchwały". Odczytajmy za Brücknerem kilka słów „w sobie samych", a przekonamy się, że szukanie źródłosłowów może być niemniej pociągające, niż rozwiązywanie krzyżówek i rebusów.

Weźmy na przykład wyraz NIEWIASTA. Co oznacza? Skąd się wywodzi? Niewiasta, powiedzmy, to zwyczajnie kobieta, po staropolsku białogłowa, albo nawet pod wiką (chustka, welon, zasłona). Lecz jaka jest etymologia wyrazu „niewiasta"? Jeszcze w w. XV „niewiastka" znaczyła tylko „synową" żonę syna, nie kobietę w ogóle. W w. XVI i XVII oznacza już kobietę, a w XVIII wyraz „niewiasta" staje się co raz rzadszy w obiegu: na jego miejsce wchodzi powszechnie „kobieta". Niegdyś „niewiasta" wymawiana była inaczej, mianowicie — „niewiesta" (jak dziś rosyjskie „niewiasta", po polsku: narzeczona). Stąd dopełniacz: niewieście. Wywodzi się niewiasta od słowa „niewieść" czyli nie-wiedzą, niewiedzieć co: coś nieznanego, nieznajomego. Rzeczywiście, etymologia słowa „niewiasta" ma rację: gdy syn brał w dom żonę czyli niewiastę-synową, niewiadomo było właściwie, co ona w ten dom wniesie, kim na prawdę jest; była jeszcze nieznaną, i dopiero w dłuższym współżyciu z nową rodziną męża objawiała swój charakter.

Niewiasta stawała się „małżonką"; zawierała „małżeństwo"; towarzyszem jej życia był „małżonek". Jakie jest skolei pochodzenie tych wyrazów? Są to słowa złożone: MAŁ i ŻONKA, pierwotnie niezdrobniale: małżonka. Wyraz MAŁ, dziś zupełnie wyszły z użycia, u dawnych Słowian znaczył UMOWĘ. Mówiono: zawierać mał. I o żonie powiadano, że brało się ją na mał czyli w drodze dobrowolnej wzajemnej umowy, którą w istocie jest każde małżeństwo.

Słowa więc: małżonka, małżeństwo, małżonek — mają w sobie powagę: przypominają, że małżeństwo jest niebylejaką umową życiową dwojga ludzi, której należy dotrzymywać. Istotnie, wyrazów „małżonek" i „małżonka" używamy tylko w stylu dość uroczystym, niecodziennym. Natomiast w życiu powszednim często się zdarza, że traktujemy małżeństwo nie jak umowę, lecz znosimy je, jak Krzyż Pański, dopust i karę boską.

BAKAŁARZ

SKLEROZA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł. otrzymał p. Jędrzej Jędrasik (Warszawa - Praga, ul. Targowa 14 m. 21) za poniższy wycinek z „Robotnika" (Nr 324 z dn. 27. XI. 47.):

PEWNY SIEBIE GDAŃSK PRZEGRAŁ W POZNANIU 10:6

Międzynarodowe spotkanie bokserskie Poznań — Gdańsk, rozegrane w Poznaniu w obecności sześciu tysięcy widzów, zakończyło się zasłużonym zwycięstwem Poznania 10:6.

Jeśli to było spotkanie „międzypaństwowe", to albo Poznań albo Gdańsk nie należy do Polski. Z tytułu notatki można wnosić, że nie należy Gdańsk, „Robotnik" nazywa go bowiem „pewnym siebie", a wiadomo, że Niemcy od wieków są pewni siebie, butni i pyszni. Słusznie więc Gdańsk poniósł tym razem zasłużoną klęskę 6:10. Niech żyje Polski Poznań! Walić Niemców! Jedno jest tylko w tej notatce dziwne: skoro Gdańsk jest niemiecki, dlaczego go „Robotnik" nie nazywa Danzig?

ZMIENIĆ TYTUŁ

W rubryce „Dziennika Bałtyckiego", noszącej tytuł „Dla najmłodszych" (Nr 274 z dn. 5. X. 47.), natrafiamy na wierszyk następujący, — pióra p. Delfina:

Raz zemdloną piękność pewien galant młody,
Gdy nie mógł docucić przy pomocy wody,
Całować ją począł — no, i dopiął swego,
Bo przyszła do siebie, a potem do niego.

P. Włodzimierz Janicki, który nam nadesłał powyższy wycinek, uważa, że wierszyk jest nieodpowiedni „dla najmłodszych" tj. dla dzieci. Co do nas, abstrachując od tego, że podejrzewamy szanownego pana Delfina o plagiacik, myślimy, że wierszyk ujdzie; trzeba tylko zmienić tytuł rubryki „Dziennika Bałtyckiego": nie „dla najmłodszych", tylko „dla zdziecinniałych".

ZADUSZKI UROZMAICONE

P. Czesław Sobczyk ze Szczecina nadsyła notatkę z „Kuriera Szczecińskiego" Nr 298.

ŚWIĘTO ZMARŁYCH I POLEGŁYCH

O godz. 15-tej odbędzie się krótkie nabożeństwo żałobne w Kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa (garnizonowy), po czym o godz. 15,15 z pod kościoła wyruszy reprezentacyjna procesja na cmentarz centralny. W procesji wezmą udział wszystkie organizacje społeczne, wojsko i związki. Na cmentarzu zostanie wygłoszone krótkie kazanie, po czym odbędzie się koncert orkiestry wojskowej i chóru „Lutnia".

Notatka nie mówi, jaki to będzie koncert i chór: poważny, lekki, operowy czy rewelersów. Możliwe, że będzie [illegible], bo i nabożeństwo i kazanie mają być krótkie.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".

Redaguje: Zespół redakcyjny.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa Szpitalna 5 m. 8.

Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.

TELEFONY: Redakcji 86-164
Administr. 88-715

Redakcja rekopisów nie zwraca.

Prenumerata miesięczna 75 zł, kwartalna—450 zł. roczna 900 zł.

Konto PKO Warszawa Nr I-4766

Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.

Ogłoszenia za 1 [illegible] wysokość 1 szpalty — 120 zł.

W kolorze — 50% drożej.

R. S. W. „PRASA". Z G. W-wa Smolna 12.

Druk okładki wykonały Zakłady Wklęsłodrukowe R.S.W „Prasa" — Warszawa.

B-40599.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Dnia 8 września 1847 roku zostało uruchomione pierwsze austriackie połączenie telegraficzne na linii Wiedeń — Brno — Praga. Pierwszych prób dokonał już w r. 1845 dr Baumgartner. Naśladowali go: dr Gintl, dr Stark i Robert Lieben.

W związku z setną rocznicą narodzin austriackiego telegrafu, ukazał się w tych dniach w Austrii specjalny znaczek okolicznościowy wartości 40 gr w kolorze brunatno - fioletowym, który reprodukujemy korzystając z grzeczności Biura Filatelistycznego T. Gryżewski (Łódź, ul. Piotrkowska 51). Znaczek przedstawia taśmę telegraficzną, wychodzącą z aparatu Morse'go i owijającą całą kulę ziemską. Ładny ten znaczek projektował malarz H. Strohofer, a rył H. T. Schimek. Rozmiar 26 × 33½ mm, ząbkowanie 14.

Dla zorientowania się w ilości wydawanych znaczków w państwach europejskich zajrzyjmy do najnowszego katalogu Zumsteina i porównajmy go z zeszłorocznym. Okaże się, że w ostatnim rocznym okresie (od jesieni 1946 r. do jesieni br. najwięcej znaczków, bo aż 87, wydała Rumunia. Na drugim miejscu znajduje się Austria z 86 znaczkami. Trzecie miejsce zajmuje Związek Radziecki, który wypuścił 85 egzemplarzy. Ta pierwsza trójka „doszła do mety" prawie równo, różniąc się między sobą tylko o jeden znaczek i dystansując inne państwa.

Na dalszych miejscach uplasowały się: Jugosławia 62, Bułgaria 61 Włochy 50, San-Marino 45, Albania 39, Belgia 37, Węgry 36, Francja i Holandia po 32, **Polska** i Czechosłowacja — po 31, Turcja — 22, Grecja — 21, Finlandia — 20, Monaco — 16, Norwegia — 14, Hiszpania, Luxemburg i Szwajcaria — po 13, Islandia — 12, Portugalia — 11, Lichtenstein — 7, Szwecja — 6, Dania — 5, Andora i Irlandia — po 3, Wielka Brytania i Państwo Kościelne — 0. Razem więc 31 państw wydało w ciągu roku 893 znaczki, czyli przeciętnie niecałe 29 znaczków na państwo. Polska choć zajęła dopiero 13/14 miejsce, stoi ze swymi 31 znaczkami nieco powyżej przeciętnej.

P. **W. Maciejewski,** W-wa. — Z większością myśli zawartych w liście Pana, zgadzam się całkowicie, zwłaszcza jeśli chodzi o konieczność wydawania w Polsce fachowego pisma filatelistycznego. Filateliści warszawscy zbierają się w niedzielę o godz. 12 w lokalu Muzeum Poczty (róg ul. Poznańskiej i Barbary).

(w. j. o.)

KONKURS GWIAZDKOWY
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W dniu dzisiejszym ogłaszamy „Konkurs Gwiazdkowy" na rozrywki umysłowe, który zakończy się dnia 21 grudnia br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, ul. Szpitalna 5 m 8 do dnia 5 stycznia 1948 roku. Na nagrody przeznacza Redakcja wartościowe książki. Za najlepsze zadania autorskie przyznane będą specjalnie wartościowe nagrody. Prosimy więc o nadsyłanie ciekawych projektów.

A													A
A	A											E	A
B	A	C									A	E	A
C	E	E	E							A	A	E	E
E	K	I	G	A					A	E	A	I	L
L	N	K	I	E	A			A	F	E	E	I	M
L	N	R	L	G	A	A	A	D	N	R	G	L	N
R	O	W	N	N	A	O	K	E	O	R	I	N	P
S	S	O	R	N	D	R	N	K	T	R	L	P	R
S	S	Y	S	O	L	R	O	R	Y	U	N	R	R
T	T	Z	T	P	N	T	T	Z	Y	W	R	S	T
U	Z	Z	Z	T	R	Y	T	Z	Z	Z	T	Z	Z

Uł. „Nerous"

PRZEKŁADANKA

W podaną figurę wpisać czternaście wyrazów o niżej podanym znaczeniu. Kratki oznaczone dadzą aktualne rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Półszlachcic. 2. Piosenka lekka, wesołej treści. 3. Uczestnik krucjat. 4. Moneta. 5. Pięciokąt. 6. Rodzaj powozu. 7. Msza św.. 8. Przyrząd astronomiczny. 9. Bufor. 10. Jedna z Furii. 11. Zbiornik. 12. Elegancja. 13. Przełom, zwrot. 14. Rodzaj posła.

Uł. R. Miałkowski

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

W rozwiązaniu zagadki 16-ej wzięło udział 398 osób; jedenaście rozwiązań było błędnych, pozostałe orzekły, że rozwiązanie brzmi:

„Wiódł ślepy kulawego".

Uzupełnienia tekstowe do powyższej treści uznano również za dobre. Odpowiedzi na listy z tego działu podajemy w rubryce: odpowiedzi Redakcji.

W wyniku losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Julian Lelątko — Olkusz, ul. Gwarecka 20 (gimnazjum i liceum ogólnokształcące),

Basia Finkówna — Puławy — Działki, ul. Konopnickiej 8.

Regina Skopińska — Toruń, ul. Żółkiewskiego 34 — 3.

Włodzimierz Małodobry — Państw. Gimnazjum Mechan. w Maczkach, powiat Będzin.

Ewa Marcinowiczówna — Leśna, pow. Lubań, ul. Gustawa Morcinka 211.

Eugeniusz Zakrzewski — poczta Sypniewo k. Ostrołęki, pow. Maków Mazowiecki.

Jadwiga Decówna — Przemyśl, ul. Brodzińskiego 5. Oddział „Społem".

Bolesław Polakowski — Pasym, ul. Szczycieńska, pow. Szczytno.

Szymek Podgórski — Szczecin, ul. Sławomira 12 — 1.

Franciszek Duchliński — Zaręby Kościelne, pow. Ostrów Mazowiecki.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Stanisława Tomczak — Ozorków, ul. Zagajnikowa 35.

Lech Łękowski — Bydgoszcz, ul. Chodkiewicza 24.

Walenty Wilk — Dąbrowa, poczta Trzciana koło Rzeszowa.

Stanisław Pogorzelski — Kozienice.

Czesław Sennik — wieś Smardze, poczta Laski, pow. Kępno. Langiewicza 13.

Zdzisław Słabosz — Rzeszów, ul. Langiewicza 13.

Loda Smolińska — Warszawa, ul. Mickiewicza 27 — 128.

B. Hołoga — Jutrosin, Rynek 1, pow Rawicz.

Jadwiga Dziedzic — Będzin, ul. Browarna 6 — 12.

Tadeusz Godlewski — Ełk, ul. Kilińskiego 23. Młyn „Społem".

Stanisław Dobrosiewicz — Poznań, ul. Zagórze 6 — 10.

Tadeusz Sawarzyński — Ustka, Jednostka Wojskowa Nr 3894.

Krystyna Krochmalska — Lubań Śląski, ul. Kościuszki 10. Spółdzielnia Osadników.

Jerzy Mitek — Zielona Góra, ul. Pionierska 26 — 3.

Jerzy Surowcew — Wołomin, ul. Nałkowskiego 17.

Tadeusz Szalczon — Toruń Fosa Staromiejska 28 — 1.

Tadeusz Pelikan — Łódź - Chojny, ul. Prosta 13 m. 3.

Tadeusz Sołtykowski — Kraków 1. Skrytka pocztowa 675.

Roman Józefoski — Chorzów, ul. Konopnickiej 6.

Stanisław Bal — Rzeszów, ul. Borelowskiego 27.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

Powyżej podajemy zagadkę Nr 19, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 21 grudnia br.

Tydzień Kobiety

SZKOŁA PRANIA

Celem prania jest usunięcie z bielizny i ubrań brudu. Na brud składają się różne składniki: 1) pot, a w nim tłuszcz, ciała białkowe i sole nieorganiczne, 2) kurz różnego rodzaju, 3) tłuszcze roślinne i naturalne, 4) ciała białkowe, 5) cukier (trzy ostatnie w brudnej bieliźnie stołowej), 6) sadze.

Ciała białkowe rozkładają się, a tłuszcze jełczeją. Jedne i drugie wydają niemiły zapach, charakterystyczny dla brudnej bielizny, dłużej leżącej.

Białko rozpływa się w zwykłej zimnej wodzie, cukier się również w niej rozpuszcza. Tłuszcze są trudniejsze do usunięcia, ale mydło rozdziela je na drobne cząsteczki, tworząc emulsję, którą przy umiejętnym praniu łatwo już usunąć.

Środkami niezbędnymi do prania bielizny są — woda, mydło lub proszki piorące.

Woda do prania musi być miękka, pozbawiona soli mineralnych, które utrudniają rozpływanie się białka i powodują stratę na mydle, gdyż mydło z wapniem tworzy osad nierozpuszczalny.

W gospodarstwach wiejskich słusznie zbierają do prania deszczówkę lub używają wody ze śniegu, nie zawierającego soli mineralnych. Woda rzeczna, studzienna i wodociągowa potrzebują zmiękczenia w mniejszym lub większym stopniu. Osiągamy to za pomocą sody, boraksu lub amoniaku,



ale nie przesadzajmy z dodawaniem tych środków, uważając jednocześnie by proszki i kryształki najdokładniej rozpuszczać.

Sody bierzemy około 25 gramów na wiadro, boraksu — około 30 gr. Boraks jest droższy, lecz lepszy od sody. Najlepiej zrobić w małym naczyniu mocny roztwór zmiękczającego środka i dolewać go po trochu do wody, sprawdzając stopień jej miękkości mydłem. Jeżeli mydliny powstają łatwo — woda jest dostatecznie miękka. Bielidło, do niedawna uważane za konieczny dodatek przy gotowaniu bielizny, miało właśnie na celu zmiękczenie wody. Działanie jego jednak bardzo niszczy bieliznę. Znacznie więc praktyczniej stosować boraks lub sodę. Zapamiętajmy sobie w tym miejscu, że nie tylko gotowanie, ale i całkowity proces prania — moczenie, pranie, gotowanie i płukanie wymagają miękkiej wody.

Mydło bywa fabrykowane z różnych tłuszczów i ługu potasowego lub sodowego. Mydła niszczące ręce mają tego ługu za dużo. Dobre mydło nie pozostawia śladu po dotknięciu palca, nie mięknie na powietrzu, jest suche, nie lepkie, nie tłuste, nie wchodzi w głąb pokręconych włókienek tkaniny, emulgując utrzymujący się tam tłuszcz. Mydło najlepiej kupować na zapas by w domu dobrze wyschło — jest wówczas znacznie wydajniejsze.

Dobrych mydeł twardych mamy obecnie na rynku pod dostatkiem. Dużym i zasłużonym powodzeniem cieszą się wśród gospodyń mydła „Społem", produkowane w trzech gatunkach z zawartością 45, 50 i 55 proc kwasów tłuszczowych.

Warto na tym miejscu wyjaśnić, na czym polega działanie tzw. środków samopiorących, jak słynne przedwojenne — „Radion" czy „Persil", zastąpione obecnie przez znakomity proszek „Społem". Środki te preparowane są w różnych proporcjach ze sproszkowanego mydła, sody i specyfiku utleniającego, w którym ilość czynnego tlenu wynosi mniej więcej 9 proc. Tlen, jak ogólnie wiadomo, ma właściwości wybielające i na tym właśnie polega tajemnica wzmiankowanych środków samopiorących.

Mówiąc o praniu, nie możemy pominąć tzw zagadnienia chlorku, które od wielu lat jest zwyczajowym tematem obszernych dyskusyj w świecie gospodyń. A więc, należy skonstatować, że przy umiejętnym użyciu ów osławiony chlorek wcale nie więcej niszczy bieliznę niż bielidło, a nadaje jej przy tym śliczną białość. Jeżeli 100 gr. chlorku, po wygotowaniu, przecedzimy do wanny napełnionej wodą — otrzymamy roztwór tak słaby, że nie ma prawie zapachu. W roztworze tym możemy śmiało moczyć bieliznę przez całą noc Rano wypłuczemy ją w czystej wodzie Nic jej to nie zaszkodzi. Podkreślamy jednak, iż nie zaszkodzi tylko wtedy, jeżeli dozowanie chlorku było odpowiednie.

Farbka poprawia kolor bielizny. Najlepsza jest „Ultramaryna" w proszku. Wkładamy ją zwykle w szczelny barchanowy woreczek, dosypujemy łyżeczkę soli, a gdy się farbka rozpuści, szafirowym płynem dobieramy zimną wodę na balii do odpowiedniego koloru. Praktyczniej jeszcze — sparzyć fabrkę bez woreczka w niewielkim garnuszku, potem przecedzić przez gęste płótno, zlać w butelkę i następnie dolewać do balii tego płynu tyle — ile potrzeba. Pewne wówczas jesteśmy, że na bieliźnie nie osiądą niebieskie proszki, co się czasami zdarza przy nieszczelnym woreczku. Farbkujemy po jednej sztuce, roztrzepując, by bielizna nie miała smug. Gdy woda traci kolor, dodajemy farbki w miarę potrzeby, gdyż jedna bielizna wymaga jej więcej, inna — mniej.

Krochmal bieliznę usztywnia i dłużej utrzymuje w czystości. Rozpuszczamy go w małej ilości letniej wody i zalewamy wrzątkiem, mieszając łyżką. Gdy zgęstnieje — tworzy galaretowatą masę, do której dodajemy wody, w miarę potrzeby.

Chustek, ręczników nie krochmalimy wcale, bieliznę stołową, pościelową i osobistą lekko.

Krochmalenie da się połączyć z farbkowaniem, trzeba jednak bardzo uważać, by proszków z farbki nie wpuścić do wody z krochmalem, gdyż wtedy przylegają silniej niż w czystej wodzie.

(C. d. n.) **M. U.**



Smacznego!

Gotowanie ryb

Przystępując do gotowania świeżo zabitej ryby, należy na grzbiecie zrobić podłóżne nacięcie, aby skóra nie popękała.

Rybę, którą podaje się do stołu w całości, należy gotować w leżącej pozycji grzbietem do góry w naczyniu odpowiedniej wielkości. W naczyniu zbyt ciasnym ryba straci swoją naturalną formę, zaś do naczynia nieproporcjonalnie dużego musimy wlać zbyt dużo wody, aby ta pokryła rybę, przez co ta ostatnia staje się wodnista i bez smaku. Rybę należy przywiązać łyczkiem do wewnętrznego sitka. Po skończonym gotowaniu wyjąć z wody wraz z sitkiem, odwiązać łyczko i zsunąć na długi półmisek.

Gotując wielkie ryby, należy je kłaść do zimnej wody lub smaku dobrze posolonego, tak aby stopniowo i równomiernie nagrzewały się razem z wodą. Tylko ryby drobne, ważące mniej niż pół kilo, kładzie się do gorącej wody lub smaku.

Wszelkie ryby należy gotować na małym ogniu, przykryte pokrywą.

Smażenie ryb

Małe ryby lub pokrajane w kawałku smażymy na maśle na patelni lub ruszcie na wierzchu kuchni, przy czem osmaża się je z obydwóch stron. Ryby duże należy wstawić do pieca, nie polewać masłem i nie przewracać aby nie zepsuć ich kształtu. Temperatura pieca przy smażeniu ryby powinna być niższa, niż przy smażeniu mięsa, jednak nigdy ryba nie może być podana niedogotowana lub niedosmażona, gdyż ryba taka raz, że jest niesmaczna, a powtóre może również być szkodliwa dla zdrowia. Aby się przekonać, czy ryba jest gotowa — zagłębiamy w nią ostrugany patyk. Jeżeli patyk ten wchodzi z łatwością — ryba jest już należycie usmażona.

Pierniki bez miodu

4 całe jaja, 2 i pół szklanki cukru, 1 szklanka śmietany, 10 dkg masła, 1/2 dkg tłuczonych goździków, tyleż cynamonu, 2 łyżeczki sody oczyszczanej, 3/4 kilograma mąki.

Masło utrzeć w donicy wałkiem; po roztarciu dodać półtorej szklanki cukru; śmietanę i jaja ucierać przez 20 minut. W czasie ucierania można dodać 1 szklankę mąki. Po 20 minutach — dodać karmel, z pozostałej szklanki cukru, rozprowadzony 1 szkl. wody i ucierać dalej, dodając zapachy, sodę i resztę mąki. Ucieranie trwać musi tak długo, aż ciasto zacznie się świecić i zaczną występować bąble. Gęstość ciasta musi być taka, by przy laniu łyżką sznureczki powstające na masie, nie rozpływały się zbytnio.

Piernik piec można na drugi dzień w blaszce wyłożonej papierem, (po bokach zwłaszcza należy wyłożyć dość grubo, gdyż pieczony bez papieru zbyt szybko chwyta ciepło po bokach, co powoduje niewyrośnięcie boków i następnie pękanie środka). Piec nie może być zbyt gorący i nie należy poruszać piernika, dopóki się nie zapiecze.

Placuszki na zsiadłem mleku

Jedną czwartą litra mleka zsiadłego, 1 jajko, 2 łyżki cukru, 2 łyżki śmietany 1 łyżeczkę sody oczyszczanej, mąki — tyle, żeby ciasto było nieco rzadsze, jak na kładzione kluski.

Wszystko razem dobrze rozbić, dodając po trochu mąki, smażyć na smalcu lub innym tłuszczu, kładąc na gorący tłuszcz. Przewracać, gdy będą się robić pęcherzyki. Nie smażyć zbyt długo i nie przewracać powtórnie.

Podawać posypane miałkim cukrem Najlepsze są gorące. Można podawać na obiad z sokiem lub do herbaty z cukrem. W tym samym cieście możsmażyć pokrajane drobno jabłka.

„Awantura o modę"

Przedostatnia strona w naszym poprzednim numerze (Nr 48) p. t. „Awantura o modę" poszła w świat w stanie dość „łamigłówkowatym". Kto zawinił? Oczywiście, jak zwykle w takich wypadkach — „ta cholera — chochlik drukarski!" który zgubił felieton, poprzestawiał podpisy pod ilustracjami, pozmieniał klisze itd. „Errare humanum est" — dopisał na niniejszym sprostowaniu nasz redaktor techniczny, pozdrawiając kwaśnym uśmiechem Czytelników „Tygodnia".

Redakcja

Odpowiedzi Redakcji

P. Stefania Kwiatkowska — Przemyśl. List Pani przekazaliśmy Red. Thenowi.

P. dr Stanisław Tuz — Warszawa, Marszałkowska 45. Wiersz choć egotyczny, ale dobry. Będzie w zapasie, może doczeka się.

P. Jan Łada — Wąbrzeźno. Nadesłanych wierszy nie zamieściliśmy, gdyż najlepsze z nich są egotyczne i nie zainteresują naszych czytelników, inne, jak „Apel" i „Toruń" są słabe. Nie zamówionych artykułów i wierszy nie zwracamy.

Spółdzielnia Spożywców „Konsum Robotniczy" w Cieszynie. Wspomnianego w Waszym liście artykułu i zdjęcia nie otrzymaliśmy. Prosimy o ponowne przysłanie.

Spółdzielca z Łodzi. Zagadnienia Teatralne i filmowe będziemy omawiali w „Tygodniu". Dział sportowy już wprowadziliśmy. Uwagi Pana odnośnie artykułu „Dzień Spółdzielczości w Anglii" (Nr 41 (65) wykorzystamy w „Sklerozie". Wątpliwości co do biblioteki spółdzielczej w Garwoli nie sprawdzimy.

P. Zbigniew Lenartowicz — Grudziądz, ul. Piłsudskiego 79. Nadesłaną notatkę przy okazji wykorzystamy.

P. Witold Barylewski — Biała Podlaska, ul. Stodolna 20. Książkę Żywulskiej „Przeżyłam Oświęcim" wysłaliśmy 13 bm.

„Niecierpliwy" — Falenica. Wiersz pt. „Zachód w jesieni" jest zupełnie dobry i dlatego radzimy nie zaniedbywać dalszych prób w tym kierunku.

P. Zygmunt Lipowski — Łódź, ul. Rzgowska 86. Z nadesłanego artykułu pt. „Uwagi w sprawach naszej żeglugi" nie skorzystamy, z powodu wielkiej ilości materiału bieżącego i ciekawszego. Zgodnie z zapowiedzią podawaną w każdym numerze „Tygodnia" rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca.

ABC dobrej gospodyni

Masło smaruje się w okresie zimowym daleko łatwiej, gdy się użyje następującego sposobu: na ½ kilo masła wlać 1 szklankę gorącego mleka, potem lekko ostudzić i wyrobić drewnianą łyżką, aż do gęstości śmietany.

Parasole można odświeżać cukrem rozpuszczonym w gorącej wodzie, biorąc łyżeczkę cukru na pół szklanki wody. Zmoczyć gąbką otwarty parasol i pozostawić na powietrzu aż do wyschnięcia.

Żółtka, które pozostały po oddzieleniu od białka i nie mogą być natychmiast zużyte, można zachować w stanie świeżym, jeżeli się je pozostawi w naczyniu z zimną wodą.

Rodzynki czyszczą się z łatwością w następujący sposób: wziąć mąki na czystą dłoń i trzeć dłońmi rodzynki — całkowicie zostaną oczyszczone z brudu i łodyżek.

PRAKTYCZNA GOSPODYNI
CZYSZCZENIE IMBRYKÓW I KARAFEK

Imbryk pokryty kamieniem należy napełnić wypłukanymi obierzynami z kartofli, nalać wody i tak długo gotować, aż kamień odstanie.

Obierzynami z kartofli, skorupkami od jajek i skrawkami papieru można bardzo dobrze czyścić karafki i butelki. Przy myciu karafek bardzo zanieczyszczonych — wsypać do środka garść soli.

JAK NALEŻY CZYŚCIĆ SZCZOTKI?

Przy myciu szczotek nie należy ich nigdy zanurzać całkowicie, wraz z oprawami w wodzie, gdyż woda niszczy je i wypacza.

Do litra gorącej wody należy wlać łyżeczkę amoniaku. Wylewamy na głęboki talerz ten roztwór i kilkakrotnie maczamy w nim włos szczotki. Następnie płuczemy szczotkę w czystej wodzie, strząsamy i suszymy włosem na dół.

Szczoteczki do zębów czyści się również w ten sam sposób.

...żeby dobrze zarobić

(Korespondencja własna z Paryża).

Awantura ta miała miejsce w sercu Paryża w połowie bm. w redakcji jednego z najwytworniejszych albumów miesięczników modniarskich — megafonu i zwierciadła najgórniejszych regionów „haute couture'y" francuskiej.

Za palisandrowym potężnym biurkiem buduarowo zacisznego gabinetu szaleje drobny kościsty człowieczek z z jajowatą „glacé" łysiną koloru wiekowej kości słoniowej. Starannie uczerniony wąsik à la Menjou jeży się i wściekle tańczy nad mięsistymi wargami, bełkocącymi w bezgranicznym zdenerwowaniu jakieś najcięższego kalibru przekleństwa. Niesmaczny dysonans stwarza godna rozetka Legii Honorowej w butonierce szarej dwurzędówki łysego pana w zestawieniu z nieopanowanie gwałtowną grą jego kościstych palców, łapiących bez wyboru za słuchawki licznych telefonów i odrzucających je z powrotem, szarpiących arkusz jakichś wzorów rozrzuconych na biurku, naciskających raptownie te i owe guziki na tabliczce rozdzielczej dzwonków... Symbol i uosobienie wściekłości — morderczej, jadowitej, nie wróżącej nic dobrego — naczelny dyrektor wytwornego miesięcznika, poświęconego rozmyślaniom o sztuce i modzie.

Jeden z dociśniętych dzwonków wywołał skutek. Do gabinetu wślizgnął się bezszelestnie boy o sprytnym oku, w pięknie skrojonym wielobarwnym mundurku.

— Wołaj mi natychmiast tych wszystkich!... Tych bydlaków — ces animeaux!.. Wszystkich rysowników natychmiast do mnie!

W niespełna pięć minut przed biurkiem złego pana stanęła ekipa słynnych „dessinateur'ów" — kilkunastu mistrzów modotwórczych tudzież asów grafiki paryskiej.

Twarz pana z rozetką nabrała koloru kardynalskiego fioletu. Przez zaciśnięte sztuczne ząbki wężowo wysyczał:

— Cóż wyście — chłopaki — do ciężkiej egipskiej cholery narozrabiali w ostatnim numerze mego przyzwoitego pisma?...

I tu popłynęła spienionym nurtem górska rzeka określeń i epitetów, która i nieśmiertelnego pyskacza Cambronne'a potrafiła by wprowadzić w stan najwyższego zachwycenia.

— Wam strachy na wróble ubierać — nie jolies femmes!... Cały świat ryczy ze śmiechu, oglądając wasze modele!...



Stosownie do imperatywów paryskich mamy „zmodernizować" swoje sylwetki przy pomocy „lekkich a wdzięcznych" gorsecików, w których — jak powiedział jeden z dyktatorów mody — „jest tak bardzo kobietom do twarzy..."

— Zobaczcie, jak rysuje Londyn, Wiedeń, Zurych, Sztokholm i Chmielewski w warszawskiej „Modzie i Życiu Praktycznym!.....

— Zapomnieliście, że moda jest przede wszystkim sztuką użytkową i że w waszych rysunkowych ideach ma poruszać się i chodzić po ziemi żywe damskie „nadzienie" — aussi l'homme vivant...

— Pamiętajcie, że rujnujecie Francję, bo moda jest jednym z najważniejszych naszych artykułów eksportowych!...



Kostiumik — kontusik z frywolnym ogonkiem. „Modernizujmy nasz wygląd!" — wrzeszczy rewolucja paryska, wertując nerwowo stare roczniki wydawnictw żurnalowych z okresu mniej więcej roku 1870. Najnowsze pomysły mają również swoje źródła...

Potok wzburzonych słów i górnych haseł szalał niepowstrzymanie. Smętnie zwiesiwszy głowy słuchała tyrady grupa sympatycznych panów. W niemej prostracji przestępowali z nogi na nogę, nie reagując na huraganową filipikę dyrektora, rozsiewając tylko na piękny gabinet oryginalne wonie wypitego w nocy w dostatecznej ilości wina i koniaku. Blade, zmęczone były ich oczy i zgnębione miny. W baranim otępieniu łagodnie i krzywo uśmiechali się do siebie.

Jeno jeden — Charles T., z niesforną czarną czupryną i wysoko podgolonym karkiem prężył coraz mocniej swe gaskońskie mięśnie i przybrawszy w pewnym momencie postawę tzw. bohaterską stanął przed biurkiem rozjuszonego szefa, oparł się o nie ciężko oburącz, pochylił prowokacyjnie kędzierzawą grzywę i głębokim złowrogim głosem przerwał skrzekliwe kazanie:

— Assez! Stop, mon directeur! Proszę na nas nie krzyczeć! Przerywam panu pańskie piękne morały! Dosyć! Proszę nam odpowiedzieć na kilka pytań, monsieur le directeur. Dlaczego pan prowadzi swoje piękne pismo? Odpowiem natychmiast za pana — ż e b y z a r o b i ć, n'est pas! Dla jakich wysokich celów powstała wasza zmowa z koncernami włókienniczymi i dyrekcjami wielkich domów modniarskich? Poco inscenizujecie ogłupiającą kobiety tzw. rewolucję w modzie? Odpowiem na to też za pana, dyrektorze — ż e b y z a r o b i ć! My też nie jesteśmy gorsi — ja i moi koledzy. My przyszliśmy do pańskiego pisma nie po to, żeby ubierać piękne kobiety, gdyż raczej milsze jest dla nas działanie odwrotne — my przyszliśmy do pana — nie żeby rysować — a tylko żeby z a r o b i ć, z a r o b i ć, z a r o b i ć!!!

— Va t'en! — zakwilił dyrektor rozdzierającym głosem postrzelonej łani i osunął się bezwładnie w swoim dostojnym fotelu.

Ewa Kaczyńska.



To wcale nie jakiś tajemniczy spadochron „na czarno", przy którym dłubią coś pracowicie białe dziewczątka. To... typowy przykład najnowszego kroju spódniczek, jakie lansują ostatnio wielkie paryskie domy modniarskie. Ach! Och! Ileż materiału potrzeba na takie tulipan'sko ?!... (Fot. „Picture Post")



„Nowoczesna" sylwetka — ideał obecnego przewrotu paryskiego w modzie.



Nie najgorzej prezentuje się sympatyczna modelka firmy X. w dwupiętrowej salopce ze srebrnymi lisami. Pewien genialny „grand créateur" wyszperał wzór w jakimś starym albumie rodzinnym. Dagerotyp prababci Pelasi stał się natchnieniem „modernizatora" mody.

DOKUMENTY MÓWIA...

PROPAGANDA LUDOBÓJCÓW

Бойцы и Командиры Красной Армии!

Ваш маршал Тимошенко осознав безполезность дальнейшего сопротивления и кровопролития обратился к нам

с просьбою о перемирии.

Раз это поняли Ваши Главноверхи, то нечего медлить и вам.

Поэтому не проливайте зря вашей крови и слагайте оружие.

Мы не собираемся держать вас в лагерях, а отпустим вас по домам, как это нами было сделано с вашими товарищами в Белоруссии.

Всякое дальнейшее сопротивление с вашей стороны будет беспощадно сломлено нашими танками и летчиками.

Пропуск.

Пред'явитель сего, не желая безмысленного кровопролития, добровольно оставляет Красную Армию и переходит к немцам в твердой уверенности, что его ожидает доброе обращение.

Passierschein.

Der Vorzeiger dieses ist gegen ein weiteres Blutvergiessen. Er verlässt die Rote Armee und geht zu den Deutschen über in der festen Überzeugung, dass ihm gute Behandlung zuteil wird.



Fotografia dywersyjnej ulotki-odezwy do żołnierzy radzieckich, rozrzucanej masowo w końcu 1941 r. przez Luftwaffe na liniach frontu wschodniego. Oto treść tego perfidnego dokumentu w tłomaczeniu polskim:

ŻOŁNIERZE I OFICEROWIE ARMII CZERWONEJ!

Wasz marszałek Timoszenko, zrozumiawszy niecelowość dalszego oporu i przelewu krwi, zwrócił się do nas

z prośbą o zawieszenie broni

Jeżeli zrozumieli to Wasi Najwyżsi Dowódcy — nie powinniście i wy zwlekać.

Nie przelewajcie więc niepotrzebnie waszej krwi i składajcie broń.

My nie mamy zamiaru przetrzymywać was w obozach, a zwolnimy was do domów, jak to już zrobiliśmy z waszymi towarzyszami na Białejrusi.

Jakikolwiek dalszy opór z waszej strony będzie bezlitośnie złamany przez nasze czołgi i lotnictwo.

PRZEPUSTKA

Okaziciel niniejszego, nie chcąc bezmyślnego przelewu krwi, dobrowolnie opuszcza Armię Czerwoną i przechodzi do Niemców z pełną wiarą, że oczekuje go dobre traktowanie.

Obok rosyjskiego tekstu „przepustki" — „Passierschein" w języku niemieckim o identycznej treści.

Fot. z prawej i u dołu:

Ekshumacja zwłok żołnierzy radzieckich wymordowanych przez Niemców na terenie obozu jeńców w okolicach Ostrowi Mazowieckiej, przeprowadzona niedawno przez Nadzwyczajną Państwową Komisję ZSRR do Badań Zbrodni Niemieckich przy współudziale władz polskich.

W zbiorowych mogiłach znaleziono tutaj około 70.000 zwłok żołnierzy Armii Czerwonej.

Fotografie z Głównej Komisji do Badań Zbrodni Niemieckich w Polsce.





Zestawienie treści powyższej ulotki z sąsiednimi fotografiami mówi więcej niż słowa. Trudno zwykłym ludzkim umysłem pojąć ogrom ohydy ludobójczych metod niemieckich.

„...nie mamy zamiaru przetrzymywać was w obozach, a zwolnimy was do domów..."